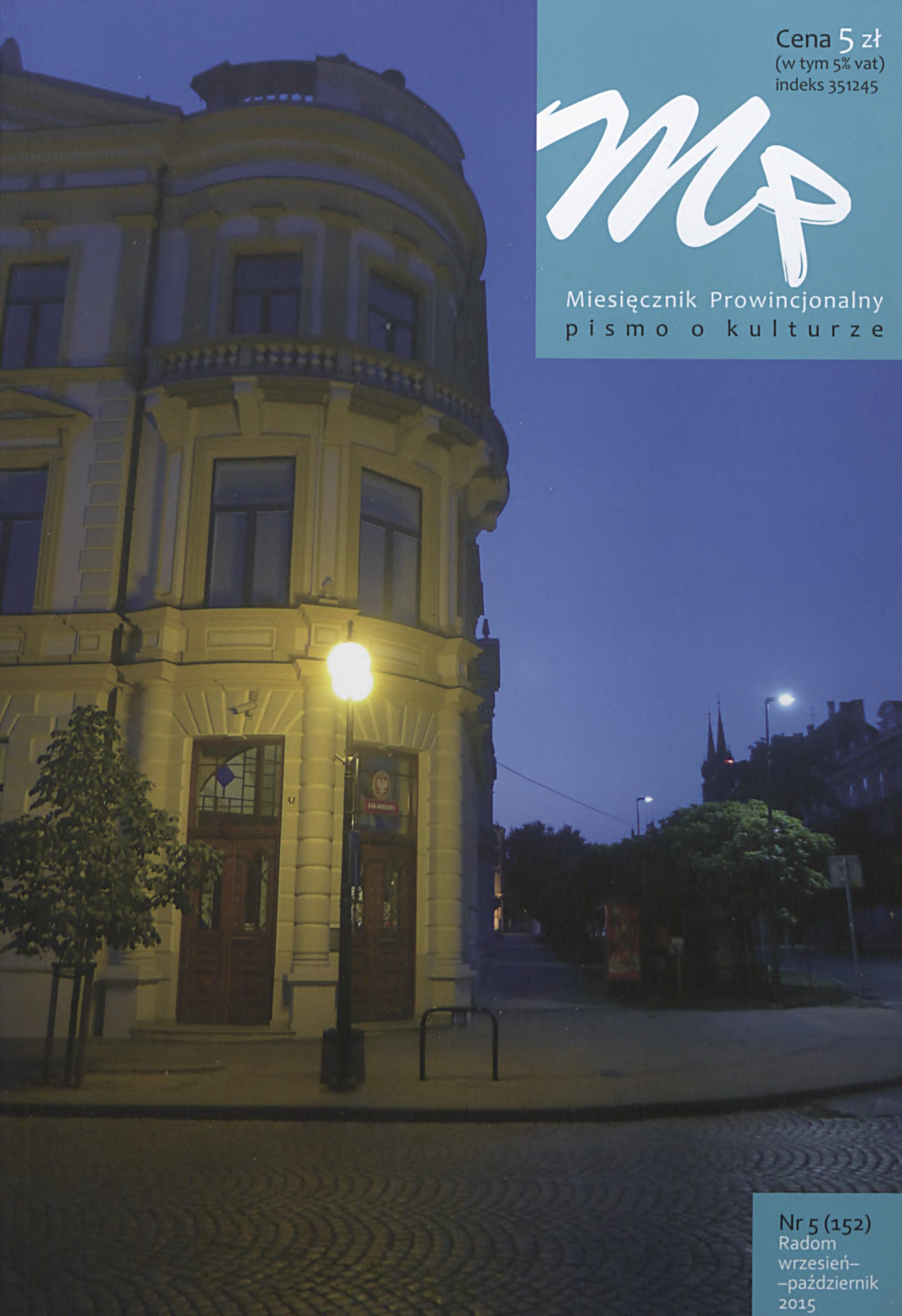

Cena 5 zł
(w tym 5% vat)
indeks 351245

MP

Miesięcznik Prowincjonalny
pismo o kulturze

Nr 5 (152)
Radom
wrzesień–
–październik
2015

Na okładce:
Budynek Sądu Okręgowego w Radomiu
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
15.08.2015 r.

Radomskie pismo o kulturze
Nr 5 (152)
Radom, wrzesień–październik 2015
cena 5 zł ISSN 1506–5391

Temat numeru:
SĄD I DAS

Redaguje zespół w składzie:

Anna Skubisz-Szymanowska
– redaktor naczelna

Agata Morgan
– sekretarz redakcji

Halina Bogusz
– korekta

Mariusz A. Dański
– dyrektor artystyczny

S. Zbigniew Kamieński

Jerzy Kutkowski

Krzysztof Majerczyk

Ilona Michalska-Masiarz

Michał Płoski

Grzegorz Sasin

Anna Spolna

Mieczysław Szewczuk

Robert Utkowski

Wydawca:
Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 362 67 35
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny

Materiałów niezamówionych redakcja
nie zwraca i zastrzega sobie prawo
ich skracania i redagowania.
Jednocześnie zapewniamy
integralność treści i formy
utworów literackich.

Prenumeratę
można zamówić
listownie lub osobiście
(Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),
jak również telefonicznie
(48 362 87 88)
i e-mailem (prom.mbpradom@op.pl)
nr konta: Bank PEKAO S.A.
70 1240 5703 1111 0000 4905 8590

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego"
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi
za współfinansowanie wydawnictwa w 2015 roku

Wydawnictwo sfinansowano ze środków Gminy Miasta Radomia

OD REDAKTORA

Tym razem nie własnym tekstem. Nadąsały mi się myśli, obraziły słowa. I nie chcą dać się przeprosić... Zresztą po co? Najbardziej odgniewane, pokorne i poukładane będą po ciemnej stronie frazy Mistrza Jeremiego Przybory.
Osądźcie sami.

Czerwono i złoto już w lesie!
Bo jesień! Już jesień!
Że barwniej jest tylko w „Expressie"!
Bo jesień! Już jesień!
Znów okna uszczelni się jutro!
Bo jesień! Już jesień!
I molom odbierze się futro!
Już jesień!
Czasami wśród zmiennych robótek
jesienny nawiedzi nas smutek.
I wtedy nie zjemy kolacji,
lub łzą się zlejemy bez racji.
A czasem znów jest nam pogodnie,
że jesień! Już jesień!
Że mamy elektrociepłownie!
Już jesień! Już jesień!
Że w Tatry niedługo na narty!
Bo jesień! Już jesień!
Że wrócił znów Szekspir w teatry!
Bo jesień!
Jesień! Jesień!

Anna Skubisz-Szymanowska

SPIS TREŚCI

1 | *Od redaktora*
Anna Skubisz-Szymanowska

SZKIC 3 | *O radomskiej rzeźbie pomnikowej (część trzydziesta dziewiąta)*
Stanisław Zbigniew Kamieński

ESEJ 9 | *Drabina (część XVII)*
Michał Płoski

11 | *O mechanizmach niepmiętania i modzie na pamięć*
Stanisław Zbigniew Kamieński

RECENZJA 15 | *Polactwo na kozetce profesora Ledera*
Łukasz Prus

ROZMOWA 19 | *Sprawiedliwość a prawo*
Magdalena Kamieńska

PLASTYKA 24 | *O nowych darach Ireneusza Pierzgalskiego*
Mieczysław Szewczuk

28 | *Obrazy Krzysztofa Mańczyńskiego...*
Lidia Ziemińska

GALERIA PROWINCJONALNA 29 | *Karol Łukasiewicz*

FELIETON 37 | *Soplicowo utracone*
Robert Utkowski

RECENZJA 38 | *Czarne słońce tropików*
Anna Spólna

WYWIAD 40 | *Chłopak z radomskich Plant...*
Ilona Michalska-Masiarz

POEZJA 44 | *Paweł Podlipniak*

TEATR 46 | *Ludzie o małej duszy...*
Krystyna Kasińska

KINO 50 | *Prócz tego...*
Grzegorz Sasin

MUZYKA 53 | *Przepis na muzyczny frument*
Krzysztof Majerczyk

WYDARZENIA 56 | *70 lat Szkoły Plastycznej im. Jacka Malczewskiego*
Jerzy Kutkowski

KRONIKA 62 | *lipiec–wrzesień 2015*

w Galerii Prowincjonalnej
PRACE KAROLA ŁUKASIEWICZA

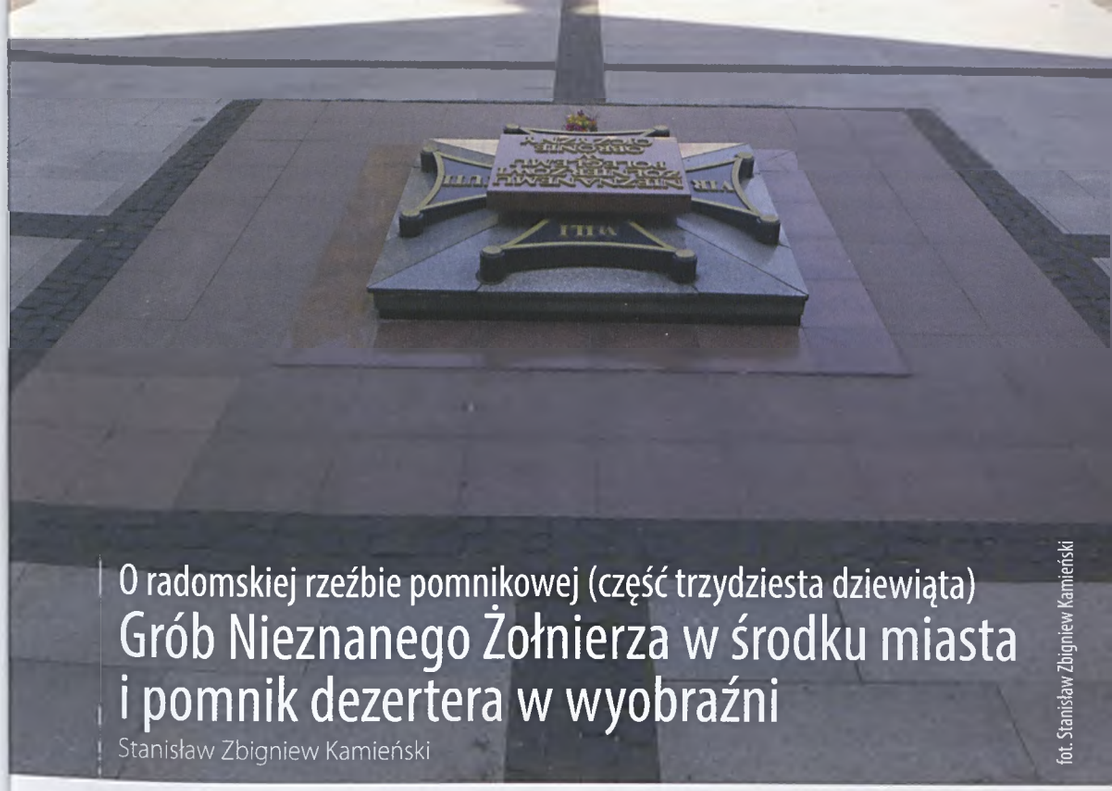

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

O radomskiej rzeźbie pomnikowej (część trzydziesta dziewiąta)

Grób Nieznanego Żołnierza w środku miasta i pomnik dezertera w wyobraźni

Stanisław Zbigniew Kamieński

Pisząc o pomnikach i rzeźbach w przestrzeni publicznej Radomia, często zbaczam z głównego traktu ku dygresjom i niekoniecznie oczywistym skojarzeniom, co może rozczarowywać tych Czytelników, którzy spodziewają się po moich tekstach naukowego podejścia do tematu, udzielania szczegółowych informacji i trzymania się tzw. suchych faktów. Wobec powszechnej dziś dostępności do wszelkiego rodzaju dokumentów historycznych, materiałów źródłowych, różnorakich opracowań i komentarzy staram się podawać tylko podstawowe i najbardziej istotne informacje, sądząc, że gdy ktoś będzie potrzebował i chciał dowiedzieć się czegoś więcej, zajrzy do internetu czy publikacji książkowych. Interesują mnie myśli błąkające się swobodnie wokół głównych wątków, skojarzenia nasuwające się pod wpływem rzeźbiarskich form (i treści, jakie niosą ze sobą), miejsc usytuowania obiektów, czasu i okoliczności ich powstania. Wpływa to oczywiście na charakter tekstów, które stają się w ten sposób bardziej osobiste, nie znajduję jednak powodu, aby miało być inaczej, abym własne uwagi i spostrzeżenia miał zastępować „obiektywnymi" stwierdzeniami, nieobciążonymi subiektywnym nastawieniem. Czy dzięki temu teksty stają się ciekawsze, a przynajmniej nie są nudne – tego nie wiem, ale liczę, że zachęcają do samodzielnego myślenia przede wszystkim o sztuce, ale nie tylko.

Możliwe, że gdyby zakreślić na planie Radomia krąg, który obejmowałby dawną zabudowę miejską najbardziej harmonijnie i całościowo, środek owego kręgu wyznaczyłby miejsce, na które dziś chcę zwrócić uwagę. Zdaję sobie sprawę, że nie musi pozostawać to w idealnej zgodzie z rozrastaniem się organizmu miasta, czy, biorąc pod uwagę geometrię – nie będzie zbyt precyzyjne. Nie ma to zresztą większego znaczenia. Tym miejscem jest plac Konstytucji 3 Maja, a na placu Grób Nieznanego Żołnierza przed kościołem garnizonowym. Być może poczucie środka wynika z kształtu bryły kościoła, to sześcian przy-

kryty kopułą – taka forma ma tendencję sytuowania się, przynajmniej w wyobraźni geometrysty, na środku nie tylko swojego placu, ale i większego terytorium.

Płyta znajduje się u podnóża schodów prowadzących do kościoła, jest to grób symboliczny, o ile mi wiadomo, nie zawiera ludzkich szczątków, jak jego przedwojenny poprzednik; zresztą informacja, że w poprzednim grobie złożono prochy poległych w 1914 r. żołnierzy, wydaje mi się eufemizmem. Określenie – „prochy poległych" wobec ciał pochowanych 11 lat wcześniej odnosi się chyba jednak do ziemi z pola walki, a nie do ekshumowanych zwłok. Zapewne istnieją gdzieś dokumenty pozwalające wyjaśnić te wątpliwości.

Usytuowanie płyty z napisem sprawia dziwne wrażenie, jakby zwrócona była bardziej do nieba niż do ludzi; trzeba podejść blisko i niemal nachylić się nad nią, aby odczytać napis. Grób jest lepiej widoczny ze szczytu schodów, ale wtedy widzimy litery napisu z tyłu. Zapewne nie tylko mnie przychodzi do głowy myśl, że płyta powinna być nachylona pod pewnym kątem, a nie leżeć płasko, ale może została tak umieszczona z rozmysłem? Poległy nieznany żołnierz, symboliczny przedstawiciel całych armii zabitych (przede wszystkim tych nigdy nierozpoznanych, ale także poległych pod własnym nazwiskiem) może liczyć na uznanie dla swego heroizmu, na chwałę i miłosierne wejrzenie, z wysoka raczej niż z poziomu ziemi, nawet jeśli jego grób „jest miejscem składania wieńców i kwiatów w czasie uroczystości patriotycznych". Może właśnie w ten sposób powinniśmy odczytywać przesłanie takiego, nie tylko radomskiego, pomnika?

Myśli o poległych bezimiennych żołnierzach i inicjatywy upamiętniania ich śmierci dochodzą do szerszej świadomości po I wojnie światowej, która pochłonęła miliony istnień ludzkich. Pierwsze Groby Nieznanego Żołnierza powstały w Anglii i Francji w 1920 r., w Anglii w opactwie westminsterskim w Londynie, we Francji pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu (złożono tam szczątki bezimiennego żołnierza wylosowane spośród niezliczonej liczby poległych pod Verdun).

W Polsce inicjatywy upamiętnienia poległych nierozpoznanych żołnierzy pojawiły się w 1921 r. Pierwszą płytę (bo nie jest to grób, choć funkcjonuje pod taką nazwą) odsłonięto w Łodzi, widnieje na niej napis: NIEZNANEMU ŻOŁNIERZOWI MIASTO ŁÓDŹ – ROK 1925; zniszczona przez Niemców na początku wojny, została zrekonstruowana już w 1946 r. Autorem projektu był rzeźbiarz Stanisław Kazimierz Ostrowski, któremu powierzono również zaprojektowanie Grobu Nieznanego Żołnierza w stolicy. Warszawski grób został odsłonięty 2 listopada 1925 r. pod kolumnadą pałacu Saskiego, tego dnia złożono tam szczątki żołnierza z cmentarza Obrońców Lwowa. Niemal rok wcześniej pod pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego, usytuowanym wówczas na placu Saskim, złożono anonimowo płytę z piaskowca z wyrytym krzyżem i napisem NIEZNANEMU ŻOŁNIERZOWI POLEGŁEMU ZA OJCZYZNĘ, fundator długo pozostawał nieznany.

Ciekawe, że podobne zdarzenie miało miejsce w Radomiu. Nocą z 2 na 3 maja 1925 r. położono przed kościołem na placu Konstytucji 3 Maja płytę z napisem: NIEZNANEMU ŻOŁNIERZOWI POLEGŁEMU W OBRONIE OJCZYZNY; ofiarodawca nigdy nie ujawnił się. W następnym roku płyta została umieszczona na stałe przed ogrodzeniem placu kościelnego na osi kościoła i otoczona słupkami z łańcuchami. „Nad płytą z nazwami pól bitewnych polskiego oręża skrzyżowano dwie pary lanc ułańskich, a pod nią umieszczono prochy żołnierzy I Brygady Legionistów poległych w dniach 22–26.10.1914 r. w bitwie pod Anielinem i Laskami k. Pionek" – cytuję za *Encyklopedią Radomia*. Niemcy na początku wojny zlikwidowali grób. Na stronie internetowej www.naszemiasto.pl przeczytałem, że „zdemontowaną płytę ukryli mieszkańcy miasta, a po wojnie została odnaleziona na jednej z budów, dzięki czemu radomski Grób Nieznanego Żołnierza zrekonstruowano w dawnym miejscu. Płyty z krzyżem Virtuti Militari nie otoczono jednak dawnym ogrodzeniem". Niestety, informacja ta jest niedokładna, a częściowo błędna. Jerzy Sekulski w *Encyklopedii Radomia* podaje taką informację: „Po 1945 r. nie było możliwości rekonstrukcji grobu ze względów politycznych. W 1957 r. nie wyraził na to zgody główny arch. Wojewódzkiego Zarządu Architektoniczno-Budowlanego w Kielcach [Radom do 1975 r. był miastem powiatowym w woj. kieleckim – przypis mój]. Zrekonstruowano go dopiero 3.05.1995 r. Płyta grobu z identycznym – jak przed wojną – napisem została wykonana wg projektu Marka Szczepanika w pracowni Kamar Szczepana Kowalskiego". Dodać należy, że obecny grób nie jest rekonstrukcją dawnego, wykonany został na podstawie nowego projektu i znajduje się w innym niż pierwotnie miejscu, bezpośrednio przed wejściem do kościoła. Informację o znalezieniu przedwojennej płyty, zresztą zniszczonej, rozbitej, podała „Gazeta Wyborcza" 20 czerwca 2008 r., czyli 13 lat po odsłonięciu nowego grobu. Do dziś na stronie gazety można przeczytać wzmiankę na ten temat i zobaczyć zdjęcia. Ciekaw jestem, pewnie nie tylko ja, jaki jest dalszy los odnalezionej płyty, czy i gdzie można ją zobaczyć? Na ten temat nie znalazłem nigdzie żadnej informacji.

Skłonny jestem myśleć, że dziś pojęcie Grobu Nieznanego Żołnierza staje się coraz bardziej abstrakcyjne, niewywołujące skojarzeń z żadną realnością. Wojna na ziemiach polskich skończyła się 70 lat temu, wraz z wojennym pokoleniem odchodzi pamięć tamtej rzeczywistości wiążącej się z walką zbrojną, codzienną niemal śmiercią ludzi w miejscach publicznych. Co prawda oglądamy dokumentalne i fabularne filmy przypominające II wojnę światową i wszystkie inne wojny oraz relacje z aktualnych konfliktów w różnych miejscach

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie

na świecie, ale to, co widzimy, nie dotyczy już nas bezpośrednio i zdawać się może odległą w czasie, czy przynajmniej w przestrzeni, okrutną baśnią. Obecne dążenie różnymi, coraz doskonalszymi metodami, przy użyciu nowoczesnych technologii do tego, aby każdy uczestnik jakiegoś wydarzenia czy sytuacji społecznej mógł zostać zidentyfikowany, podawanie nazwisk wszystkich poległych czy zabitych w jakimś wypadku, katastrofie czy akcji militarnej, następnie utrwalanie ich w bazach danych, wydaje się standardem, normalną praktyką i odsuwa pojęcie nieznanego żołnierza, przynajmniej w warunkach europejskich, poza obszar świadomości czy wyobraźni przeciętnego obywatela.

„[...] straumatyzowane i pozbawione głosu pomniki potrzebują reanimacji demokratycznej"[1] – pisze Krzysztof Wodiczko (rocznik 1943), współczesny polski artysta domeny publicznej, autor projekcji – rzutowania obrazów fotograficznych i fotomontaży, również wideo z użyciem dźwięku, na obiekty użyteczności społecznej, niczym na ekrany. W kontekście miejsc wyświetlania nabierają one poruszającej wymowy, niepokoją, uświadamiają nam to, czego wolelibyśmy nie wiedzieć czy nie pamiętać. Wchodzą w przewrotny dialog z ustaloną oficjalnie symboliką i ikonografią tych miejsc – budynków reprezentujących mieszczące się w nich instytucje lub pomników, reprezentujących utrwalone historycznie czy poprawne politycznie idee. Wodiczko konfrontuje mity, popularne wyobrażenia bohaterów wojennych różnych czasów i miejsc z przedstawieniami współczesnych wojennych weteranów, którym pamięć koszmarów wojennych nie pozwala powrócić do normalnego życia, także bezdomnych, zepchniętych na margines życia społecznego, niewygodnych zadowolonym ze swojej ustabilizowanej, dostatniej sytuacji życiowej społeczeństwom Europy i Ameryki Północnej. „W projekcji na pomnik [pomnik Żołnierzy i Marynarzy Wojny Secesyjnej, Boston, 1986/87 – przypis mój] wystawiony bohaterom celebrowanej historii artysta wyświetlił obrazy antybohaterów, niemających swojej reprezentacji w oficjalnej wersji historii"[2]. W ramach jednej ze swoich akcji w Edynburgu (1988), gdzie znajduje się pomnik upamiętniający angielskich żołnierzy poległych w wojnach napoleońskich, Wodiczko „rzutował obrazy bezdomnych, jakby podtrzymujących wyświetlany na belkowaniu łaciński napis »Morituri te salutant« (Umierający pozdrawiają cię)"[3]. Hasło skierowane było do Żelaznej Damy, ówczesnej premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher. „Moja dewiza brzmi następująco – pisze Wodiczko – aby ożywić pomnik, trzeba ożywić samego siebie"[4].

Jak w naszych warunkach postsocjalistycznej rzeczywistości można rozumieć to wezwanie? Siedzący na ławkach pod ogrodzeniem kościoła garnizonowego, czasem śpiący tam w ciepłe dni, być może niektórzy bezdomni, nie budzą w nas żadnych bezpośrednich skojarzeń z sąsiadującym pomnikiem i z odległą wojną. Nie stać nas na bardziej skomplikowane skojarzenia. Radomscy kloszardzi w słoneczne, upalne dni lata 2015 r. nie wyglądają na umierających, wolimy im się zresztą nie przyglądać, nikt nie oczekuje ich pozdrowień za cenę paru złotych na piwo. Na poddaszu w jednym z domów otaczających plac mieszkał przez długie lata wybitny malarz Edward Kiełtyka. Opowiadał mi podczas jednego z plenerów w Zbożennej, że w 1939 r., kiedy nie miał jeszcze ukończonych 18 lat, został zmobilizowany do wojska, ale nie chciał i nie potrafił dać się wciągnąć w tryby machiny wojennej, zdezerterował.

Tadeusz Różewicz napisał przejmujący wiersz poemat pt. *Dezerterzy*. Oto jego początkowy fragment: „ja człowiek dobrej woli/ i małej wiary/ czekam na pomnik/ nieznanego żołnierza dezertera/ ze wszystkich armii/ ze wszystkich wojen// pomnik wzniesiony/ ukradkiem do nieba/ pod ziemią/ pomnik wzniesiony oczami/ matek sióstr żon kochanek// pomnik wzniesiony/ ze wstydu rozpaczy strachu/ miłości nienawiści/ pomnik bez imienia i nazwiska". W Radomsku, rodzinnym mieście wielkiego poety, nie ma jego pomnika ani nawet poświęconej mu tablicy. Wydawało mi się to niezrozumiałe. Okazało się, że właśnie tam w ocenie miejscowej społeczności postać Różewicza nie jest postrzegana jednoznacznie; poezję czyta i docenia niewiele osób, w pamięci kolegów z oddziału partyzanckiego i środowiska akowskiego pozostał tym, który zbyt wcześnie wrócił do cywila, aprobując tym samym nowy powojenny porządek. Zdradził świat faktów na rzecz świata refleksji i literackiej wyobraźni. W drugiej części poematu Różewicz mówi tak: „Wzywam was/ na Apel Poległych.../ Dezerterzy!/ ze wszystkich armii świata!/ niech kompania honorowa/ odda salwę skierowaną/ w wasze serca głowy/ zawiązane oczy// niech wasi koledzy/ rozstrzelają jeszcze raz/ wasze imiona/ wasze cienie/ pamięć o was // apoteoza wodzów/ generałów rzeźników/ ludobójców trwa".

Ktoś może uważać, że poświęcanie uwagi dezerterom wobec poległych na wojnie żołnierzy jest nie na miejscu, uwłacza świętej pamięci bohaterów. Kiedy rozmawiałem o tym ze znajomym, zapytał jakby sam siebie: „Czy dać się zabić to jedyna honorowa dezercja? – i dodał – hipotetyczny pomnik dezertera to pomnik problemu. Pewnie pomnik konieczny, choć trudno będzie o sponsora" – zakończył ironicznie.

Cóż to za samobójczy, straceńczy instynkt sprawia – myślę – że ludzie ruszają na wojny? Dlaczego niemożliwa wydaje się powszechna umowa społeczna o nieuczestniczeniu w wojnach, o rezygnacji z zabijania, powszechna dezercja jako wartość, nie hańba? Skąd przychodzą mężczyznom do głów pomysły na teksty wierszy, piosenek skierowanych do kobiet , które uwznioślają rzeczywistość wojenną: „moja mała, otrzyj łzy, będę listy pisał ci, o wojence nie myśl źle, moja mała, moja mała, mój ty śnie". Oswajanie wojennego koszmaru zdrobnieniem słowa „wojna" na „wojenka", o której nie trzeba myśleć źle, jest oczywistym nonsensem, jednak powszechnie aprobowanym.

Nie wydaje mi się, abyśmy byli przygotowani w Radomiu na działania w sferze publicznej podobne do proponowanych przez Krzysztofa Wodiczkę, który „zastygłym w celebrowaniu przeszłości monumentom narzucał nowe role i znaczenia"[5]. Pozostajemy nieufni, podejrzliwi, obawiamy się, by ktoś nie drwił z naszych narodowych świętości. Warto jednak zastanowić się nad słowami artysty: „aby ożywić pomnik, trzeba ożywić samego siebie".

Jak można pomóc przechodniom w owym ożywieniu świadomości? Myślę, że niewielu spośród przechodzących codziennie czy często koło Grobu Nieznanego Żołnierza wie cokolwiek o bitwie pod Laskami-Anielinem stoczonej z wojskami rosyjskimi przez Legiony, wtedy, na początku I wojny światowej, działającymi jeszcze w strukturach armii austro-węgierskiej. Legiony Piłsudskiego należały do tematów zakazanych w PRL-u, skutki półwiecznego niemal milczenia trudno naprawić nawet przez następne 25 lat. Monumentalny pomnik-mauzoleum, który stanął w 1933 r. w Żytkowicach koło Pionek, dokąd przeniesiono szczątki legionistów pogrzebanych w różnych miejscach w okolicy kilkudniowej bitwy, ocalał podczas II wojny światowej. Niemcy usunęli stamtąd jedynie rzeźbę legionowego orła na kuli. Pomnik pozostał także jakby niezauważony za czasów PRL-u, ale też nie był przez dziesiątki lat chroniony ani konserwowany. Dopiero w 1981 r. Solidarność z Pronitu w Pionkach podjęła się opieki nad obiektem. Bitwa pod Laskami-Anielinem, tak związana z radomskim pomnikiem swoją przedwojenną historią, jest wymieniona na jednej z ta-

blic Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Trzeba przypominać o tym radomianom, może za pośrednictwem starannie przygotowanego tekstu z fotografiami, na planszach umieszczonych na ścianie kościoła garnizonowego, w jego wnętrzu czy obok budynku? Czy tym sposobem grób-pomnik, usytuowany w centrum organizmu miejskiego Radomia, ożyje w naszej świadomości? Czy wyjaśni coś z naszej XX-wiecznej historii, niejednokrotnie zatajanej czy fałszowanej przez naszych wrogów i nas samych?

Stanisław Zbigniew Kamieński
30 lipca – 31 sierpnia 2015 r.

[1] Korzystałem z *Encyklopedii Radomia* autorstwa Jerzego Sekulskiego (hasło: Grób Nieznanego Żołnierza) oraz książki *Sztuka domeny publicznej. Krzysztof Wodiczko* wydanej przez Państwową Galerię Sztuki w Sopocie i Fundację *Profile* w Warszawie s. 163.
[2] s. 82.
[3] s. 98
[4] s. 164.
[5] s. 9.

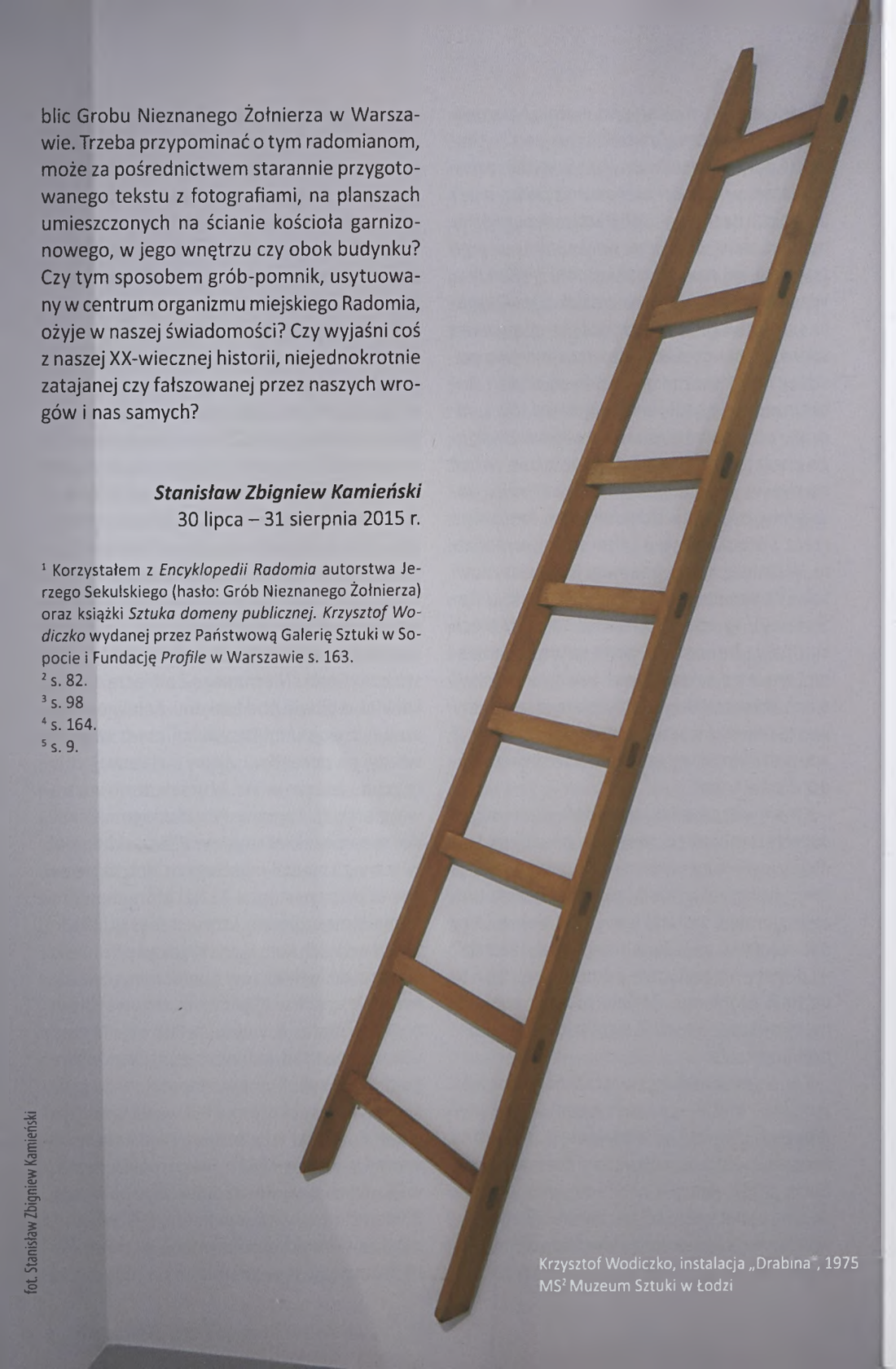

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Krzysztof Wodiczko, instalacja „Drabina", 1975
MS[2] Muzeum Sztuki w Łodzi

Z notatnika malarza ikon

Drabina (część XVII)

Michał Płoski

Tradycja wiąże początek monastycyzmu z św. Antonim Wielkim (ok. 251–356). Był on koptyjskim chłopem, który odziedziczył ok. 80 hektarów żyznych gruntów, co w owych czasach stanowiło duży majątek. Jako młody człowiek usłyszał w kościele słowa Jezusa skierowane do zamożnego młodzieńca (Mk 10, 17–31; Mt 19, 16–30; Łk 18, 18–30), aby rozdał wszystko, co posiada i poszedł za nim. Antoni uczynił tak i odszedł na pustynię, miejsce ludzi odrzuconych przez społeczeństwo. Podobnie zachował się św. Franciszek, zamieniając dostatni dom ojca na gościniec, przyjmując kondycję włóczęgi. Znamienne, że założyciele i reformatorzy zakonów, żyjący w różnych wiekach i okolicznościach, rozpoczynali swój radykalny zwrot ku Ewangelii od odrzucenia dóbr materialnych, uprzywilejowanej pozycji społecznej i przyjęcia warunków życia ludzi ubogich. Można postawić pytanie: czy to jest potrzebne? Czy zachowanie prostoty i solidarności z biednymi, także poprzez przyjęcie ich sytuacji materialnej, jest tak istotne?

Pewną pomoc w rozwiązaniu powyższych kwestii stanowią rozważania ojca Franza Jalicsa (SJ), znanego przewodnika na drogach modlitwy kontemplacyjnej. W jego interpretacji ów fragment Ewangelii, w którym bogaty młodzieniec pyta Jezusa, jak osiągnąć życie wieczne, wskazuje na dwa etapy życia duchowego. Pierwszy polega na zachowaniu przykazań – „znasz przykazania: Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie zeznawaj fałszywie, nie oszukuj, czcij swego ojca i matkę". Następny etap to pójście drogą, którą idzie sam Jezus. Streszcza się on w słowach: „Idź, sprzedaj wszystko, co masz [...] i chodź za Mną!".

Droga Jezusa jest drogą całkowitego ogołocenia: od narodzin w betlejemskiej stajni, przez życie w ubogiej rodzinie i los bezdomnego nauczyciela, pogardzanego przez uczonych i możnych, po krzyżową śmierć. W liście do Filipian czytamy: „[...] nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz ogołocił samego siebie..." (Flp 2, 6–7). O. Jalics zauważa, że pogłębienie życia duchowego wymaga ogołocenia, człowiek musi uczynić to tak, aby Bóg mógł go wypełnić. „Sprzedaj wszystko" – to wezwanie ma dwa poziomy: materialny i duchowy. Ten drugi polega na rezygnacji ze skarbów duchowych, na coraz głębszym uciszeniu. O. Jalics zamyka swoje rozważania modlitwą św. Ignacego Loyoli: „Zabierz, Panie, i przyjmij całą wolność moją, pamięć i rozum, i wolę mą całą, cokolwiek mam i posiadam. Ty mi to wszystko dałeś, Tobie to, Panie, oddaję. Twoje jest wszystko. Rozporządzaj tym w pełni wedle swojej woli. Daj mi jedynie miłość Twą i łaskę, albowiem to mi wystarcza"[1].

Między poziomem materialnym i duchowym zachodzi zwrotne sprzężenie. Kontemplatycy ogarnięci Bożą miłością porzucają bez troski dobra tego świata, zaś materialne ubóstwo wzbudza całkowite zdanie się na Bożą opatrzność.

XVII rozdział *Drabiny raju* św. Jana Klimaka nosi tytuł „O ubóstwie (czyli o biegu do nieba)". Czytamy w nim: „Ubóstwo jest pozbyciem się trosk, wolnością od kłopotów życia, nie doznającym przeszkód podróżowaniem, wiernością wobec przykazań, obcą zmartwieniu. Ubogi mnich jest panem świata [...]. Kto skosztował tych dóbr, które są w górze, łatwo pogardzi tymi, które są na dole; a ów, który nie skosztował, pyszni się z bogactwa. [...] Mnisi! Nie będziemy więc pokazywać, że jesteśmy mniej ufni od ptaków! Bo one nie troszczą się i nie zbierają"[2].

[1] Franz Jalics, *Droga kontemplacji*, tłum. G. Rawski, Kraków 2015, wyd. WAM, s. 42.
[2] Św. Jan Klimak, *Drabina raju*, tłum. W. Polanowski,

Znany amerykański kaznodzieja, franciszkanin Richard Rohr, zauważa, że wezwania do prostoty, życia w duchu Ewangelii nie przynoszą skutków. „Jak to się stało – pyta o. Rohr – że po dwóch tysiącach lat rozważań na temat Jezusa i Jego nauki skutecznie udało się nam uniknąć wszystkiego, o czym tak jednoznacznie mówił? [...] Wszyscy z nas ignorują wyraźną naukę o ubóstwie"[3].

Jak długo nasza religijność zdominowana jest przez etykę, możemy co najwyżej odpowiedzieć podobnie jak ów młodzieniec, że zachowujemy przykazania. Potrzeba jednak czegoś więcej. Powracam do rozważań o. Rohra: „Co powstrzymuje nas przed byciem ubogimi i otwartymi na innych? I nie chodzi tu tylko o rzeczy materialne, lecz przede wszystkim o dobra duchowe i intelektualne – moje ego, moja reputacja, mój własny wizerunek, moja potrzeba posiadania racji, potrzeba sukcesu, potrzeba sprawowania kontroli i potrzeba bycia kochanym. [...] Eckhart [chodzi o Mistrza Eckharta, niemieckiego mistyka z przełomu XIII i XIV w. – przyp. M.P.] twierdził, że życie duchowe ma więcej wspólnego z odejmowaniem niż dodawaniem. Jednak na kapitalistycznym Zachodzie wciąż coraz wyżej wspinamy się po drabinie duchowego sukcesu, a Ewangelię przekształciliśmy w kwestię dodawania, zamiast odejmowania. To, co powinniśmy zrobić, to zejść z drogi! Wówczas Bóg stanie się dla nas jawny i z łatwością będziemy mogli powitać Chrystusa. [...] Jako osoba jestem tylko maleńką cząstką stworzenia, drobiną, odbijającą jedynie fragment boskiej chwały. [...] Jeśli nie doświadczymy tego związku, tego, że jesteśmy rzeczywiście cząstką Wielkiego Płomienia, prawie na pewno będziemy odczuwali potrzebę nieustannego gromadzenia dóbr zewnętrznych jako substytutu naszej własnej wartości"[4].

Ojciec Rohr adresuje swoje książki nie do kręgu ludzi przeżywających zakonne powołania, lecz do każdego z nas. Rozwój cywilizacyjny spowodował, że po raz pierwszy w dziejach postawa człowieka zdominowana przez ego grozi globalną katastrofą. Nie chodzi tu wyłącznie o nagromadzone środki militarne, ale także o upowszechnienie się konsumpcjonizmu w krajach wysoko rozwiniętych. Zanieczyszczenie środowiska i globalne ocieplenie wskazują na konieczność głębokich zmian w świadomości ludzi na całym świecie. Potrzebna jest przemiana naszych serc, zmiana wrażliwości, pozwalająca na rzeczywiste działania społeczeństw na rzecz wyrównywania głębokich podziałów ekonomicznych i społecznych w świecie, potrzebne jest ograniczenie konsumpcji na rzecz prostoty życia i otwartości na potrzeby bliźnich. Takie postulaty wydają się nierealne w dzisiejszym świecie, a jednak podjęcie ich jest jedyną realną drogą uniknięcia katastrofy, do której zdaje się zmierzać świat. Doświadczeni przewodnicy duchowi, wśród nich cytowani tu Jalics i Rohr, wskazują na wagę postawy kontemplatywnej. Wprowadzenie w modlitwę wewnętrzną należałoby upowszechnić w normalnym systemie edukacji, stymulującym głównie rozwój umysłowy. Owszem, etyka jest ważna, ale jeśli zostanie sprowadzona do nauczania norm bez zakorzenienia w duchowości, to nie wpłynie na zmianę ludzkich postaw. Zasadna jest dziś refleksja nad źródłami chrześcijańskiej Europy i świadectwami św. Antoniego, św. Jana Klimaka czy św. Franciszka. Nieprzypadkowo ten ostatni jest tak dobitnie przypomniany przez papieża, który przyjął jego imię. Ostatnia encyklika *Laudato si! W trosce o wspólny dom* ukazuje z całym realizmem zagrożenia, które przyniósł rozwój cywilizacyjny i jednocześnie, właśnie przez wskazanie na św. Franciszka, zapala światła nadziei. Tę tak ważną dla całej ludzkości encyklikę ojciec święty zamyka modlitwami. Oto fragment jednej z nich:

„Ojcze ubogich,
pomóż nam uratować opuszczonych
i zapomnianych tej ziemi,
którzy znaczą tak wiele w Twoich oczach.
Ulecz nasze życie,
byśmy strzegli świata, a nie łupili go,
byśmy rozsiewali piękno,
a nie skażenie i zniszczenie.
Dotknij serc
tych, którzy szukają jedynie zysków
kosztem ubogich i ziemi.
Naucz nas odkrywania wartości każdej rzeczy,
kontemplowania w zadziwieniu,
uznania, że jesteśmy głęboko zjednoczeni
z każdym stworzeniem
w naszej pielgrzymce ku Twej
nieskończonej światłości[5]".

Na wewnętrzną postawę człowieka może wpłynąć obcowanie z pięknem natury i ze sztuką. W tradycji ikony znany jest nurt hezychastyczny, niosący w sobie światło kontemplacji i prostoty życia. Do najbardziej znanych przedstawicieli tego nurtu należał Teofan Grek, który malując ściany cerkwi, sprowadzał niejako niebo na ziemię, mimo że często ograniczał koloryt do orchy i bieli; a także św. Andriej Rublow, którego ikony o zgeometryzowanej kompozycji są wyrazem tego, co objawia się na szczytach kontemplacji – prostoty, harmonii, czystości. Obaj, Teofan i Andrej, byli mnichami wspinającymi się po rajskiej drabinie. Jest ona przeciwieństwem drabin hierarchii społecznej i światowych bogactw; z tych trzeba wcześniej czy później zejść. O. Rohr daje nam pod rozwagę zdanie wypowiedziane przez sławnego psychiatrę, psychologa i myśliciela Carla Gustava Junga. Jako stary człowiek powiedział o swej drodze: „Moja podróż była wędrowaniem w dół, po dziesięciu tysiącach drabin, abym w końcu teraz, u kresu życia, mógł wyciągnąć przyjazną dłoń do tej małej grudki ziemi, którą sam jestem"[6].

Michał Płoski

Kęty 2011, wyd. M. Derewiecki, s. 218.
[3] Richard Rohr, *Prostota. Sztuka odpuszczania*, tłum. A. Korolik, Kielce 2015, Wydawnictwo Charaktery, s. 164.
[4] Jak wyżej, s. 165.
[5] Ojciec święty Franciszek, *Encyklika Laudato Si! W trosce o wspólny dom*, Kraków 2015, Wyd. M, s. 152.
[6] Richard Rohr, jak wyżej, s. 169.

O mechanizmach niepamiętania i modzie na pamięć

Stanisław Zbigniew Kamieński

Stoję przed witryną radomskiej księgarni, zapewne okna księgarni w innych miastach wyglądają podobnie. Odczytuję tytuły: *Ułani, poeci, dżentelmeni, Męski świat przedwojennej Polski, Gwiazdy Drugiej Rzeczypospolitej, Ziemiański savoir-vivre, Życie prywatne elit artystycznych Drugiej Rzeczypospolitej, Muzy Młodej Polski, Wpływowe kobiety Drugiej Rzeczypospolitej, O ziemiańskim świętowaniu, Życie towarzyskie elit PRL*. Obok wywiady-rzeki ze sławnymi onegdaj i pamiętanymi jeszcze dziś aktorkami i aktorami, znanymi politykami i mężami stanu, popularnymi reżyserami, lekarzami, sportowcami czy pisarzami. Widzę wystawę, na której tłoczą się te wszystkie książki, i przychodzi mi do głowy sformułowanie – „moda na pamięć"; brzmi dobrze, kiedy powtarzam je półgłosem i nie chce już odczepić się ode mnie. Co może się kryć za tak zestawionymi dwoma pojęciami, co chce wywołać czy osiągnąć owo zaczepne hasło, do jakich pokładów wyobraźni, czy w tym przypadku – pamięci, potrafi zaprowadzić? Właściwie niemal natychmiast pod owym pojemnym, choć niejasnym szyldem pojawia się wiele skojarzeń, narracji i obrazów z początku postrzępionych, zamazanych, przychodzących spontanicznie, bez większego porządku, jednak ten chaotyczny zbiór wydaje się na tyle intrygujący, że postanawiam zebrać gromadzące się myśli, poddać je jakiemuś rygorowi, nadać im formę. A więc – moda na pamięć.

Zapewne jest to naturalna reakcja społeczna na dziesiątki lat niepamiętania i milczenia. Niepamiętania nakazanego czy zalecanego przez władzę albo wybieranego jako bezpieczny sposób na życie przez zastraszane społeczeństwa państw bloku komunistycznego. Milczenia w sprawie własnego pochodzenia, jeśli nie było ono zgodne z oczekiwaniem władzy, w sprawie wojennych losów rodziny, jeśli te losy demaskowały pochodzenie społeczne, milczenia asekuranckiego, aby nie zaszkodzić sobie i własnym dzieciom w szkole, w dostaniu się na studia, w pracy, w karierze zawodowej. W ustroju socjalistycznym dobrze widziani byli obywatele o podobnie skrojonych życiorysach i rodowodach, tych samych „jedynie słusznych" poglądach na świat i właściwej postawie obywatelskiej. W ten sposób swoje życiowe szanse wobec tych z tzw. lepszym pochodzeniem i wykształceniem wyrównywała władza robotniczo-chłopska, proletariat miejski i wiejski w nowym ustroju.

Przychodzi mi na myśl obraz Pawła Susida z napisem czy raczej obraz-napis: „a znów dziś wydaje się, że rewolucje acz przykre były konieczne". Być może była to cena, którą należało zapłacić, czy tzw. przykrość, której trzeba było doznać, aby owe szanse różnych klas i grup społecznych wyrównać w imię społecznej sprawiedliwości. Trzeba przyznać, że niektórzy zapłacili straszną, najwyższą cenę w owym procesie wyrównania szans i życiowych możliwości, bo wyrównywanie szans oznaczało w praktyce równanie w dół, tępienie przejawów inteligencji, indywidualności, nieprzeciętnych uzdolnień i talentów, pochodzenia z wyższych klas społecznych, wszelkiej wyjątkowości i odmienności. Na szczęście niektórym z tych „przejawów" udało się jakoś przemknąć, przecisnąć, zaistnieć czy dojść do głosu, bo przeciętność i tępota nie zawsze i nie wszędzie umiały je wytropić i zdemaskować, uświadomić sobie ich znaczenie czy po prostu zrozumieć i ocenić ich wartość, aby następnie poddać „konstruktywnej krytyce" i zniszczyć „w imię słusznej sprawy". Można też takie ustrojowe niedopatrzenia skomentować stwierdzeniem autorstwa Magdaleny Tulli z książki o nieustępliwej pamięci *Szum*: „[...] w swojej nieuwadze świat każdemu gotów jest ofiarować jego porcję bezkarności". No może jednak nie każdemu.

Po 70 latach walki klas, dyktatury proletariatu, sojuszu robotniczo-chłopskiego i kształtowania się nowych społeczeństw w ustroju socjalistycznym, po dewaluacji i kompromitacji komunistycznej ideologii i jej propagandowych haseł obwieszczanych w gazetach, pochodach i manifestach, po ekonomicznej klęsce socjalizmu, ale jednocześnie ugruntowaniu swoich pozycji przez partyjne elity i procesie ich uwłaszczania, po wymieszaniu się, siłą rzeczy, klas społecznych, grup etnicznych, narodowości i wyznań, system, który miał uszczęśliwić ludzkość, upadł 25 lat temu, na szczęście bez większego przelewu krwi. Kolos na glinianych nogach, rozchwiany, runął siłą bezwładu. Dziś widzimy naturalną kolej rzeczy takiego procesu, ale wtedy nie było to wcale oczywiste, nawet dla przenikliwych obserwatorów globalnych przemian dziejowych.

Przyszła moda na przywracanie, odblokowywanie pamięci, odnajdywanie powiązań i znajomości w dobrym towarzystwie, wysokich, coraz bardziej wpływowych sferach nie tylko władzy, ale i biznesu, życia artystycznego i intelektualnego czy nauki, na doszukiwanie się odpowiednich koligacji rodzinnych albo przynajmniej fascynacją elitami, snobowanie się na elity, ocieranie się o tzw. wielki świat, choćby wirtualnie. Do pełnego głosu doszedł, po latach szeptu w tej sprawie, etos szlachecki, wielu z nas próbuje doszukiwać się swoich szlacheckich korzeni i poświęca wiele czasu na gromadzenie danych o swoich przodkach, konstruowanie drzew genealogicznych, choć statystyki przypominają, że warstwa szlachecka stanowiła zaledwie kilka procent społeczeństwa, przeważającą większość stanowili włościanie. Popularne ciągle jest powiedzenie – nie robić wiochy, wioski, ale być może nie wszyscy, powtarzając ten utarty zwrot,

fot. Roman Fangor

Tadeusz Różewicz rozmawia z Willim Dettlaffem, 1976 r.

zdają sobie sprawę, iż bezwiednie wysyłają sygnał, że nie mają nic wspólnego z wsią, z wiejskim pochodzeniem. To, po latach punktów za pochodzenie, obciach.

Niemal 80 lat temu Karol Szymanowski, przy okazji wystawienia w Pradze „Harnasiów", powiedział, przenikliwie patrząc w przyszłość, że „formy kultury ludowej, chłopskiej są skazane na zagładę". Wieś, jaką pamiętamy z naszego dzieciństwa, jeśli tam się urodziliśmy, jeśli jeździliśmy tam na wakacje czy chodziliśmy wiejskimi drogami na turystycznych rajdach, przestała istnieć. Jej relikty, szczątki uchowały się jeszcze w okaleczonych formach z dala od uczęszczanych tras komunikacyjnych. Warto więc może jednak, przyznając się do swojego wiejskiego pochodzenia, ocalić cokolwiek z chłopskiego dziedzictwa czy etosu, nie tylko jakieś przedmioty, na które panuje dziś moda, ale zabłąkane w pamięci powiedzenia, zwyczaje, obrazy życia codziennego i świąt.

Powraca pamięć o dworach i dworkach własnych przodków (miejscach rozbudzania u młodzieży i kultywowania u dorosłych patriotycznych cnót), ale mogę domyślać się, że podobnie, jak w PRL-owskim ZBOWiD-zie, gdzie dużo więcej było członków niż faktycznych bojowników (pomijam tu fakt, że nie mogli do niego należeć walczący z okupantem sowieckim, nie mogli nawet się ujawniać), zapewne tak wygląda to i w tym przypadku – tych mających podstawy, aby powoływać się na swoje szlacheckie pochodzenie jest mniej niż głośno przyznających się dziś do szlacheckich korzeni. Poszukujemy lepszej krwi w swoich żyłach, po latach, gdy już wolno i nie wiąże się to z represjami, ale żałosne wydaje mi się obwieszczanie o swoim arystokratycznym pochodzeniu, gdy za czasów PRL-u korzystało się z możliwości jadania obiadów w stołówce komitetu PZPR. Życiowy spryt jest w każdych czasach cenną umiejętnością, cechą nie do pogardzenia, jednak podejrzana to arystokracja podszywająca się pod tych, którymi pogardza, korzystająca z ich przywilejów. Mimikra nie przystoi wysoko urodzonym. Ale odszedłem zbytnio od głównego wątku w złośliwe aczkolwiek prawdziwe dy-

gresje. Podobnych przykładów przystosowania się do niesprzyjających, opresyjnych warunków w trudnych czasach, czy mówiąc inaczej – konformizmu, można by przytaczać wiele, ale moglibyśmy podawać też dużo przykładów zachowania godności i nienaginania karku wobec represji i szykan przez różnych ludzi, bez względu na ich społeczne pochodzenie. Zapewne pamięć, rozumiana jako przywiązanie do zachowań, wzorów i wyobrażeń wyniesionych z przeszłości, odgrywa tu niebagatelną rolę.

Po latach odgórnego, centralnego zarządzania wszystkimi dziedzinami życia społecznego, do pewnego stopnia również modą, oczywiście w zgrzebnym PRL-owskim wydaniu, w nowym ustroju ujawniła się ze zdwojoną siłą moda na pamięć. Dziś czasy się zmieniły i możemy ulegać różnego rodzaju modom, bez obawy, jak ustosunkuje się do tego władza. Są oczywiście obszary, które, jeśli nawet przestały być tabu, są dalej strefami gorących kontrowersji, polami minowymi, jednak moda na pamięć nie wiąże się już z ryzykiem i kłopotami, a nawet wydaje się czymś w dobrym tonie. Z jednej strony coraz częściej jesteśmy gotowi odsłaniać światu sferę naszego życia osobistego, nawet intymnego, z drugiej – nie chcemy pamiętać udziału, aktywności w strukturach poprzedniej władzy, aparatu partyjnego, nie tylko wtedy, gdy w nowej rzeczywistości mamy ambicje zaistnieć jako osoby publiczne. Niektórzy próbują tworzyć własny, zawoalowany wizerunek opozycjonisty, jeśli ów obraz nie jest w żaden sposób wyraźnie czytelny, oczywisty.

Nikt nie zostanie wtrącony do więzienia, nie straci pracy, czy nie ucierpi na tym zbytnio jego pozycja zawodowa, społeczna, co najwyżej towarzyska, jeśli przypomni sobie (lub ktoś przypomni mu) o przynależności do Hitlerjugend, o służbie dziadka w Wermachcie, o AK-owskiej przeszłości czy szlaku bojowym z armią gen. Władysława Andersa. Nikt nie musi ukrywać faktu, że ktoś bliski z jego rodziny został zamordowany przez NKWD w Katyniu, nie jest to już równoznaczne z wrogością wobec postępowych sił społecznych. Kiedy wiele lat temu byłem w czasie wakacji na studenckim obozie zorganizowanym przez Duszpasterstwo Akademickie (w osobie ks. Jerzego Banaśkiewicza), Kaszub Willi Dettlaff, na którego ziemi na skraju lasu stały nasze namioty, wcielony w czasie wojny do Wermachtu, śpiewał razem z nami przy ognisku piosenki patriotyczne, dawne wojskowe, i wówczas okazało się, że zna więcej zwrotek niejednej niż każdy z nas mieszkających w centralnej Polsce. Niejednej z nich nie można było wtedy oficjalnie, publicznie śpiewać i słuchać, godziły w ustrój socjalistyczny, ale tam, pod lasem, po drugiej stronie rzeczywistości, nie docierały do czujnych uszu strażników ówczesnego ładu państwowego.

Ja sam niechętnie wracam pamięcią do sytuacji z drugiej połowy lat 70., kiedy pomagałem mojemu profesorowi z ASP w Warszawie w przygotowaniu oprawy plastycznej dożynek centralnych. Myślałem wtedy naiwnie, że skoro posługujemy się kolorem zielonym a nie czerwonym, to uczestniczymy raczej w pradawnym rytuale odnoszącym się do przemijania pór roku, a nie w propagandowej imprezie politycznej. Kiedy jednak profesor zaproponował mi, wtedy młodszemu asystentowi, wstąpienie do partii, a ja odmówiłem, skończyło się na jego oburzeniu, z pracy na uczelni nie zostałem wyrzucony.

Niestety, moda na pamięć przychodzi do wielu z nas, abstrahując od czasów i ustroju, zbyt późno. Kiedy to napisałem, zacząłem od razu mieć wątpliwości, co do prawdy takiego stwierdzenia; być może to tylko przypadłość społeczeństw byłego bloku socjalistycznego, którym na niemal pół wieku zamknięto usta i skutecznie zniechęcono do sięgania indywidualną pamięcią wstecz. Niezależnie jednak od tego, jak jest naprawdę, niemal każda, każdy z nas – mam na myśli moje pokolenie – zna owo poczucie żalu, że nie zdążyliśmy porozmawiać z naszymi dziadkami czy nawet rodzicami o ich życiu, czasach ich młodości i wchodzenia w dorosłość, w samodzielne funkcjonowanie w świecie, że nie wypytaliśmy ich o różne szczegóły i okoliczności, przyczyny i powody tego i tamtego, niejasności rodzinnych historii, które dopiero wtedy zaprzątają naszą uwagę, gdy wyjaśnienia są już przeważnie niemożliwe, uczestnicy minionych zdarzeń albo nie żyją, albo są zbyt starzy, by wrócić przytomną pamięcią do dawnych lat.

W moim przypadku wiąże się to niewątpliwie z owym niepokojem, obawą, o której wspominałem, aby za wiele nie wiedzieć o niepokojącej przeszłości moich bliskich. Nie było to rozmyślnym, świadomym zaniechaniem, raczej podświadomym uleganiem atmosferze milczenia po tylu dramatycznych doświadczeniach rodzinnych. Usprawiedliwiam w ten sposób sam siebie (choć i demaskuję niesamodzielność myślenia, decyzji) za niedopytywanie ojca mojej mamy i jego siostry cioci Musi o losy rodziny wywiezionej do Kazachstanu, podczas gdy dziadek został deportowany na Syberię, za brak zainteresowania losami braci mojego ojca, którzy po wojnie nie wrócili z Zachodu do Polski.

Snobizm czy moda na szukanie koligacji z wyższymi sferami mogą wydawać się irytujące, szczególnie wtedy, gdy dzisiejsi poszukiwacze wysługiwali się ówczesnej władzy, niszczącej ślady i przejawy aktywności zawodowej, społecznej czy kulturalnej dawnych elit, ale samo zjawisko poszukiwania swoich korzeni stanowi pozytywny objaw przywracania społeczeństwu pamięci narodowej, grupowej czy indywidualnej, jednostkowej. Choć, jak pisze pochodzący z innego kręgu kulturowego Clifford Geertz w książce *Po fakcie*: „Właściwie nie bardzo wiadomo, co począć z przeszłością".

Stanisław Zbigniew Kamieński
2 września – 7 października 2014

Polactwo na kozetce profesora Ledera

Łukasz Prus

Co najmniej od 1989 r. raz po raz pojawiają się książki, których autorzy próbują postawić diagnozę czy wręcz przeprowadzić swoistą dekonstrukcję stanu „ducha polskiego", używając do tego różnych narzędzi teoretycznych. Dość wspomnieć chociażby takie publikacje, jak: *Nieszczęsny dar wolności* Józefa Tischnera, *Esej o duszy polskiej* i *Triumf człowieka pospolitego* Ryszarda Legutki, *Polactwo* Rafała A. Ziemkiewicza, *Wieszanie* Jarosława Marka Rymkiewicza czy *Fantomowe ciało króla* Jana Sowy. Właśnie w ciągu tych książek należy umieścić najnowszą pracę Andrzeja Ledera *Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, która notabene znalazła się wśród 20 tytułów nominowanych do tegorocznej Literackiej Nagrody NIKE. Andrzej Leder, psychoterapeuta i filozof, kierownik Zespołu Badawczego Filozofii Kultury w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, napisał książkę, o której jeszcze przed wydaniem zrobiło się głośno. I nie bez przyczyny. Jego poprzednia praca – *Nauka Freuda w epoce Sein und Zeit* – została okrzyknięta przez krytyków jedną z najważniejszych polskich książek filozoficznych minionego ćwierćwiecza. Oczekiwania były więc duże, napięcie rosło z każdym kolejnym dniem, każdym kolejnym wywiadem czy fragmentem opublikowanym przed ukazaniem się książki. Tymczasem już po jej publikacji w środowisku filozoficznym nastąpiła pewna

konsternacja: z jednej strony zachwyt, z drugiej obojętność i zarzuty o nierzetelność w opisie faktów historycznych; zdarzały się i głosy takie, że o *Prześnionej rewolucji* nie ma sensu mówić.

Ten ostatni głos wydaje się mi się co najmniej chybiony. Może przyczyną prób jej przemilczenia jest brak otwartości na nowatorską – nowatorską w swym synkretyzmie – metodę wykładu. Bo wydaje się, że właśnie metoda – a nie sam dobór i zestawienie opisywanych faktów – stanowi o wartości tej książki. Bowiem Andrzej Leder w swoim rozumieniu historii idzie za Walterem Benjaminem, myślicielem w Polsce raczej, niestety, niedocenianym; fragment z jego *Pasaży* posłużył zresztą Lederowi za motto *Prześnionej rewolucji*: „[...] przebudzenie musi rozpoczynać każdą prezentację historyczną; owszem, ta właściwie nie może traktować o niczym innym". A Leder bardzo poważnie traktuje to wezwanie. Jego zdaniem bowiem: „W Polsce w latach 1939–1956 dokonała się rewolucja społeczna. Okrutna, brutalna, narzucona z zewnątrz, ale jednak rewolucja. Niesłychanie głęboko przeorała ona tkankę polskiego społeczeństwa, tworząc warunki do dzisiejszej ekspansji klasy średniej, czyli po prostu mieszczaństwa. To zaś oznacza, że utorowała drogę do, najgłębszej być może od wieków, zmiany mentalności Polaków – odejścia od mentalności określonej przez wieś i folwark ku zdeterminowanej przez miasto i miejski sposób życia. Ta rewolucja pozostaje jednak nieobecna w myśleniu". Słowem: w Polsce jednak rewolucja mieszczańska się dokonała, ale jej przebieg pozostaje poza świadomością – i klasową, i indywidualną – współczesnych Polaków aspirujących do tego, żeby nazywać się klasą średnią. Z kolei zapoznanie wydarzeń z tego krwawego przełomu w Polskiej historii – wyparcie go z pamięci czy właściwie Lederowskie „prześnienie" go powoduje – pisze filozof – że klasa ta do dziś pozbawiona jest samoświadomości, a tym samym realnej podmiotowości: „Nie wiedząc, skąd się wzięła [tj. klasa średnia – przyp. Ł.P.], więcej, mając nieczyste sumienie w związku z zatartym wspomnieniem przemocy, której zawdzięcza swą genezę – ta nowa, potężna siła unika jasnego określania swej tożsamości. Pławi się w nostalgicznych rojeniach na temat dworków i hektarów, powstań i cmentarzy albo »odlatuje« ku jakimś hiperglobalnym wzorcom, czego znakomitym przykładem jest zawrotna kariera, jaką w warstwie mieszczańskiej zrobiło spożywanie sushi [...] całe polskie społeczeństwo gubi się w niedzisiejszych wyobrażeniach na swój temat, nie mogąc odpowiedzieć sobie na najprostsze pytanie: kim jesteśmy i kim chcemy być, dzisiaj, tu i teraz, oraz jutro?".

Przyszłością w swojej książce Leder się nie zajmuje; analizuje raczej teraźniejszy stan zbiorowej świadomości klasy średniej, snując rozważania na tle tych wydarzeń historycznych, które, jego zdaniem, przeorały tkankę polskiego społeczeństwa w latach 1936–1956, tj. zagłady Żydów, wymordowania przez stalinowców polskiego podziemia niepodległościowego oraz reformy rolnej. Pytając o genezę obecnej klasy średniej, zauważa, że po Zagładzie, kiedy z polskich miast i miasteczek niemal zupełnie zniknęli Żydzi, ktoś zajął ich kamienice, sklepy, sklepiki, warsztaty, że kiedy po reformie rolnej z polskiego dworku zniknął ostatni „pan", jego miejsce zajął ten, co jeszcze przed wojną był „chamem z chamów". Podobna wymiana substancji ludzkiej dokonała się we wszystkich obszarach życia społecznego. I na tym właśnie polegała rewolucja, o której w swojej książce pisze Leder. A dlaczego nazywa ją rewolucją „prześnioną"? Bo była to rewolucja, odpowiada autor, dziwna, nietypowa w historii – dokonana cudzymi rękoma. Rękoma Niemców i Rosjan oraz kolaborujących z nimi Polaków. Reszta społeczeństwa, która nie działała w ruchu oporu, a po wojnie nie zeszła do drugiej konspiracji ani nie kolaborowała z Niemcami i nie przyłożyła ręki do instalacji komunistycznego systemu w powojennej Polsce – patrzyła na to wszystko jakby we śnie. Kolejne wydarzenia po prostu działy się, rewolucja się dokonywała jakby sama: „rewolucja została doświadczona przez polskie społeczeństwo niczym koszmarny sen; sen, w którym spełniają się najokropniejsze marzenia i lęki. Sen jednak, w którym to spełnienie marzeń i lęków doświadczane jest pasywnie, bez podmiotowego udziału, jakby wszystko zdarzyło się samo. To nie ja podpisałem wyrok, to nie moje oczy widziały śmierć, to nie moje usta wypowiadały przekleństwa, to nie ja wszedłem do cudzego domu... To się jakoś samo stało" – pisze filozof.

Nie oznacza to jednak – Leder bardzo wyraźnie podkreśla ten wątek – że Polacy, których potomkowie tworzą dziś mieszczaństwo, w jakiś sposób nie wzięli w tym wszystkim udziału. Idzie Leder w swojej analizie w dużym stopniu za marksistowskim rozumieniem dziejów, zgodnie z którym „historia wszystkich dotychczasowych społeczeństw jest historią walk klasowych" (*Manifest komunistyczny*). Tak więc polski robotnik, pisze Leder, już przed wojną nienawidził Żyda i skrycie pragnął zająć jego miejsce, a polski „cham" nienawidził „pana" i marzył o tym, żeby zabrać mu ziemię i dwór. Dlatego właśnie – Leder pisze o tym wprost – mordowaniu Żydów przez Niemców czy usuwaniu „panów" z dworów towarzyszyła satysfakcja i rozkosz tych, którzy od pokoleń pragnęli awansu; dlatego też filozof powiada, że rewolucja ta dokonała się „rękoma innych". Budując tę konstrukcję, używa Leder ukutego przez Jaquesa Lacana pojęcia transpasywności. Kategoria ta mówi o tym, że pewne działania i przeżycia Innego mogą być doświadczane jako własne, generując stany emocjonalne zwykle powodowane przez samodzielną aktywność. Tak o transpasywności pisze Slavoj *Žižek: „[...] gdy inny się raduje, ja raduję się wraz z nim [...] moje najbardziej intymne uczucia mogą ulec radykalnemu uzewnętrznieniu, dosłownie mogę »śmiać się i płakać za pośrednictwem Innego«* (Przekleństwo fantazji). I właśnie o tym pamiętać nie chcą ci wszyscy, którzy na serii makabrycznych wydarzeń z lat 1939–1956 skorzystali, byli wręcz ich beneficjentami, ponieważ i zagłada Żydów, i wymordowanie przedwojennej polskiej elity, i reforma rolna otworzyły drogę do awansu społecznego niezliczonym rzeszom Polaków, którzy przed wojną pozostawali na społecznym marginesie. Sens tych wydarzeń został, zdaniem Ledera, wyparty ze zbiorowej pamięci z powodu wstydu i podświadomie odczuwanej odpowiedzialności za transpasywne uczestnictwo w nich. Stąd też brak samowiedzy współczesnej klasy średniej, a jej świadomość jest świadomością fałszywą; dlatego, podkreśla Leder, współczesna klasa średnia, chcąc opisać swoją kondycję, tak chętnie odwołuje się do tradycji szlacheckiego folwarku albo też „odlatuje" w zglobalizowaną, uniwersalną narrację.

Ale w ludzkiej *psyche* – i indywidualnej, i zbiorowej – definitywnie nie ginie nic z dawnych wydarzeń, co obrazowo opisał Zygmund Freud w książce pt. *Kultura jako źródło cierpień*. Idąc za tym założeniem, wykorzystuje często autor *Prześnionej rewolucji* pojęcia zaczerpnięte z psychoanalizy, przede wszystkim Lacanowskiej. Używając terminów takich jak imaginarium czy fantazmat, próbuje Leder zrekonstruować procesy, jakie zachodziły w la-

tach 1939–1956 – i wciąż zachodzą – w świadomości Polaków. To druga strona jego metody, która stara się objąć jednym spojrzeniem dialektyczne napięcie pomiędzy faktami a ich odbiciem w świadomości. Już włoski marksista Antonio Gramsci zauważył, że w świadomości zdecydowanej większości ludzi zachodzi fundamentalna sprzeczność, że w zasadzie większość z nich posiada dwie świadomości – jedna to ta, której treść ujawnia się na poziomie werbalnej artykulacji, a druga to ta, która manifestuje się w działaniu. Nie inny jest, pisze Leder, stan świadomości współczesnej klasy średniej: z jednej strony słowo „pan" budzi negatywną konotację, z drugiej, próbując określić swój rodowód, chętnie powołuje się ona na „pańską" tradycję historyczną; negatywnie kojarzy się też słowo „Żyd", a jednocześnie współczesne mieszczaństwo zajmuje jego miejsce. Okazuje się więc, że klasa średnia nie dysponuje własnym, koherentnym imaginarium, czy też jak określał je Charles Taylor – polem symbolicznym, czyli utrwalonym zespołem wyobrażeń, umożliwiającym praktyki społeczne dzięki nadaniu im sensu. To właśnie pole symboliczne sprawia, że sposób, w jaki postaci, obiekty i wydarzenia nam się jawią, ma dla nas znaczenie moralne i wyznacza ramy porządku etycznego; czy jeszcze inaczej: imaginarium albo pole symboliczne to „[...] ta część świata, która ma normatywną moc. Może ona legitymizować – albo raczej usprawiedliwiać – nasze istnienie, w odróżnieniu od części uprzedmiotowionej, pozbawionej normatywnej mocy". I to jest drugie znaczenie sformułowania, że rewolucja została „prześniona". W dziejach rewolucji wszystkim wielkim przewrotom w sferze materialnej towarzyszyła rewolucja w sferze idei, każda grupa rewolucyjna wypracowywała własną ideologię, narrację, umożliwiającą jej określenie własnej pozycji w świecie, konstruującą jej podmiotowość. W przypadku polskiej „prześnionej" rewolucji z lat 1939–1956 zabrakło właśnie tego drugiego elementu.

Pisze Leder: „[...] klasa średnia nadal żyje do pewnego stopnia »we śnie«. Mogą to być rojenia o jakichś mitycznych dworkach albo fantazje na temat przynależności do międzynarodowej nowojorsko-londyńsko-tokijskiej elity; wypełniają one jednak pustkę, brak związany z nieobecnością aktu politycznego upodmiotowienia, którym winna być rewolucja". I właśnie przyczynkiem rzeczonego upodmiotowienia, czyli uzyskania własnej, autentycznej świadomości przez klasę średnią, ma być książka Ledera. *Prześniona rewolucja* to zapisana na 200 stronach sesja psychoanalityczna, której poddawani są Polacy jako zbiorowość. To, co zostało wyparte i zepchnięte w podświadomość, powinno zostać na powrót przyswojone, z traumą należy się pogodzić, zaakceptować ją i przetworzyć w sobie, pisze Leder. I dodaje w zakończeniu *Prześnionej rewolucji*: „Uświadomienie sobie swojego miejsca wymaga jednak uznania trudnej genealogii. Uznania, że prawie wszyscy jesteśmy dziećmi owej nieszczęsnej, przeprowadzonej cudzymi rękoma, okrutnej rewolucji, przeorania tkanki społecznej. Oznacza to – jeszcze raz – wzięcie odpowiedzialności za to, co wówczas się stało. Uświadomienie sobie, że to nasi ojcowie czy dziadowie brali, wchodzili, przymykali oczy, ba, zabijali, donosili, zdradzali. Ale też podejmowali decyzje i wyzwania, wędrowali myślami w przeszłość, budowali zręby nowego społeczeństwa [...]. To wszystko jest konieczne, by obudzić się ze snu, w którym największa historyczna transformacja polskiego społeczeństwa jawi się jako koszmar – przerażający, sycący skryte pragnienia, przeżyty bez świadomości".

Łukasz Prus

Andrzej Leder, *Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014.

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Sprawiedliwość a prawo

Czy sędzia może kierować się uczuciami, czym jest poczucie sprawiedliwości? – o kulturze prawnej z sędziami Sądu Okręgowego w Radomiu rozmawiała Magdalena Kamieńska

Sędzia Maciej Gwiazda

Sprawy karne, z którymi spotykamy się w salach rozpraw, są niejednokrotnie bardzo trudne i skomplikowane, co sprawia, że człowiek najchętniej zapomniałby o nich, a to niestety nie jest możliwe. Jedna ze spraw, która najbardziej zapadła mi w pamięć, związana była z wymierzeniem po raz ostatni (przed radykalnymi zmianami w tej dziedzinie w Polsce) najsurowszej kary – kary śmierci. Dotyczyła tzw. bestii, człowieka, który dopuścił się zabójstwa połączonego ze zgwałceniem siedmioletniej dziewczynki. Narada nad orzeczeniem była jedną z najdłuższych i przypuszczam, że reperkusje tej decyzji trwają w każdym z jej uczestników do dziś. Wyroku nie wykonano ze względu na wchodzące wówczas w życie przepisy, najpierw zawieszające wykonywanie kary śmierci, a następnie znoszące ją całkowicie. Wyrok śmierci został zamieniony na 25 lat pozbawienia wolności. Informacja o miejscach, gdzie wykonywano ten najwyższy wymiar kary, była utajniona, podobnie jak nazwisko osoby wykonującej wyrok, czyli kata. W Radomiu nie wykonywano wyroków kary śmierci.

Karę śmierci w Polsce zniesiono w 1998 r., a słuszność tej decyzji pozostaje wciąż dyskusyjna. Z jednej strony mamy mocne stanowisko kościoła katolickiego, który mówi, że życia należy bronić, nie wolno go odbierać, nawet w majestacie prawa. Ale także wśród ludzi niewierzących bardzo silnie zakorzenione jest przekonanie o istnieniu uniwersalnych wartości, które stały się podstawą funkcjonowania Unii Europejskiej, mówiące jednoznacznie, że kara śmierci w tym systemie się nie mieści. Wreszcie nie wolno zapominać o głosach tej części obywateli, którzy twierdzą, że są sytuacje szczególne, nadzwyczajne, np. wojna, kiedy taka forma kary jest stosowana. Różne sytuacje mogą nas zaskoczyć, a na świecie jest dziś niespokojnie. Także te głosy, które poddają w wątpliwość decyzję o usunięciu kary śmierci z katalogu kar, nie powinny być zupełnie odrzucane. Można się z nimi oczywiście nie zgadzać w oparciu

o własny system wartości – religijnych, moralnych, etycznych, w którym definitywnie nie ma miejsca dla kary śmierci. Warto jednak zauważyć, że niejednokrotnie widzenie tej problematyki zmienia się, gdy ktoś zostanie bezpośrednio dotknięty ciężką zbrodnią. Nawet liberał, zdeklarowany przeciwnik surowego karania, w momencie, kiedy staje się osobą pokrzywdzoną, uznaje tylko najwyższy wymiar kary – karę śmierci. Jesteśmy głęboko zakorzenieni w prawodawstwie unijnym i myśl o przywróceniu tej kary jest absolutnie niemożliwa, ale musimy pracować nad skutecznym chronieniem społeczeństwa. Będzie to zapewne jeszcze przez długie lata przedmiotem debat społecznych. Kwestią dyskusyjną jest również to, czy dożywotnie pozbawienie wolności jest karą humanitarną.

W jednym z tzw. kultowych filmów reżyserowanym przez S. Chęcińskiego, rodzina Pawlaków wybiera się do sądu i seniorka rodu, podając granaty synowi, mówi: „Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie". Pojęcie sprawiedliwości, zwłaszcza wśród przeciwnych stron postępowań sadowych, bardzo się różni. Każda ze stron sporu cywilnego, wchodząc do sali rozpraw, twierdzi, że sprawiedliwość jest i musi pozostać po ich stronie. Sąd ma dokonać osądu, a nie ma czegoś takiego jak sprawiedliwość absolutna, z wyjątkiem ludzi wierzących, dla których taką sprawiedliwością będzie sprawiedliwość boska na Sądzie Ostatecznym. Każdy z nas jest ułomny, więc i sprawiedliwość bywa ułomna. Powinniśmy przyzwyczaić się do myśli, że najczęściej nie sposób ustalić czegoś takiego jak „prawda obiektywna". Musimy opierać się na pojęciu „prawdy sądowej" i dążyć do sprawiedliwości w oparciu o taką prawdę, i na jej podstawie wymierzać karę. Prawda sądowa jest taką prawdą, którą daje się udowodnić przed sądem. Sędziowie będą mieli taki ogląd sprawy, jaki wynika z przedstawionych dowodów. Jeśli przedstawione dowody będą fałszywe, to i obraz postępowania będzie ułomny i trudno w tym się doszukiwać winy sądu. Natomiast jeśli dowody będą odzwierciedlały rzeczywistość, taką, jaka ona była, to i sprawiedliwość wymierzona w oparciu o te dowody będzie zbliżona do absolutnej.

Sędzia Joanna Kaczmarek-Kęsik

Wbrew pozorom prawo cywilne ma zdecydowanie więcej problemów do rozstrzygania niż prawo karne. Wiele spraw cywilnych fascynuje, często w grę wchodzą ogromne emocje, nieprawdopodobne przypadki, które rodzą różnorodne konflikty i spory.

Weźmy na przykład sprawę o przyznanie opieki, z historią wielkiej miłości Polki i cudzoziemca w tle. Dziewczyna Polka wyjechała do narzeczonego poza granice kraju i przydarzył się jej wypadek komunikacyjny, w wyniku którego została całkowicie unieruchomiona. W jednym z sądów okręgu radomskiego toczyła się walka między narzeczonym dziewczyny a jej rodzicami o opiekę nad nią. Cudzoziemiec, który nie był jeszcze oficjalnie jej mężem, przyjeżdżał do Polski z całą rodziną i przyjaciółmi, walczyć, aby właśnie jemu została powierzona ta opieka. Ostatecznie sprawę wygrali rodzice. Sąd miał na uwadze kontekst sytuacyjny, ale musiał również uwzględnić regulacje prawne wynikające z kodeksu rodzinnego i opiekuńczego. Z drugiej strony diametralnie inna, ciekawa sprawa o odszkodowanie tytułem kosztów leczenia kota, który wyszedł z posesji powódki i został zaatakowany przez psa pozwanej. Pies wprawdzie był na smyczy, ale nie dało się go zatrzymać. Kot został przewieziony do kliniki w Warszawie, gdzie poddano go leczeniu. Sąd przychylił się do żądania powódki – właścicielki kota i zasądził odszkodowanie, ale pomniejszył je o połowę, uznając, że powódka przyczyniła się do powstania szkody, ponieważ kot wyszedł z posesji bez nadzoru. Sprawy cywilne są bardzo różnorodne. W tym miejscu przy-

Plafon w radomskim Sądzie Okręgowym przy ul. Piłsudskiego 10 (rekonstrukcja i konserwacja plafonu – Wojciech Wdowski), przy balustradzie stoi Magdalena Kamieńska

wołać można anegdotę z książki Karola Olgierda Borchardta *Znaczy Kapitan*. Studenci prawa zdający egzamin na wileńskiej uczelni byli pytani przez profesora, co widzą, kiedy wyjrzą przez okno. Prawidłowa odpowiedź brzmiała „Podmioty i przedmioty stosunków prawnych". Prawnik cywilista, obserwując rzeczywistość na każdym kroku, widzi właśnie stosunki cywilnoprawne. Do spraw cywilnych należą sprawy z dziedziny zobowiązań, prawa rzeczowego, prawa rodzinnego i opiekuńczego, prawa pracy, prawa gospodarczego. Sprawy cywilne dotykają wszystkich, bo wszyscy posiadamy majątek, każdy z nas jest konsumentem, usługobiorcą. Kupujemy towary, czyli zawieramy umowy sprzedaży, jeździmy środkami komunikacji publicznej, czyli zawieramy umowy przewozu. Nasza codzienna aktywność jest regulowana prawem cywilnym.

Z punktu widzenia sędziego cywilisty szczególnie trudne są sprawy rodzinne dotyczące najsilniejszych więzi, kiedy ujawniają się wielkie emocje, zwłaszcza gdy dotyczą dzieci. Często w sprawy te zaangażowana jest także dalsza rodzina, a nawet społeczność lokalna. Demonstracje, które zdarzają się przed sądami, są najczęściej związane właśnie ze sprawami rodzinnymi. Sprawami takimi często interesują się środki masowego przekazu. Sędziowie muszą zachować dużą rezerwę w ujawnianiu przebiegu postępowania, gdyż sprawy rodzinne często dotyczą małoletnich dzieci, a rozpowszechnienie informacji może je skrzywdzić. W takich przypadkach trzeba po-

stępować z wielkim wyczuciem, mając na uwadze ich dobro.

Dużą trudnością cechują się również sprawy dotyczące działów spadków i zniesienia współwłasności. Sprawy te często mają burzliwy i długotrwały przebieg z uwagi na skomplikowany charakter. Czasami sąd stoi przed problemem, który wydawałby się nie do rozwiązania, jak w przypadku zniesienia współwłasności przedwojennych kamienic w samym centrum Radomia. Okazuje się bowiem, że część kamienicy jest wybudowana na jednej nieruchomości, a część na innej, przy czym na każdej z kondygnacji podział przebiega inaczej.

Spraw cywilnych nie musimy rozstrzygać w sądzie. Istnieją alternatywne sposoby rozwiązywania sporów, np. mediacja czy arbitraż. Mediacja jest nową instytucją prawną, pozwalającą na rozwiązanie sporu poza sądem przez mediatorów. W Europie rozwiązywanie spraw w ten sposób jest już bardzo popularne. Warto rozpropagować w Polsce instytucję mediacji. Rzadko z niej korzystamy, zapewne z braku informacji. Sędziowie okręgu radomskiego włączyli się w kampanię informacyjną, która ma uświadamiać, że istnieje polubowny sposób rozwiązywania sporów polegający na dochodzeniu do konsensusu, który satysfakcjonuje wszystkich uczestników. Zawarta ugoda jest zatwierdzana przez sąd i ma moc wyroku. Na terenie Radomia funkcjonuje Polskie Centrum Mediacji. Praktycznie każdy może być mediatorem. Mediacja umożliwia rozwiązywanie sporu przez włączenie do niego bezstronnej osoby trzeciej, która pomoże w znalezieniu rozwiązania pojednawczego, satysfakcjonującego strony konfliktu. Mediacja jest dobrowolna i poufna, a obie strony są traktowane jednakowo.

Sąd ma reprezentować i wymierzać sprawiedliwość, a nie „załatwiać sprawy". Każdy sędzia orzekający jest tego świadomy. Na to, jaki jest kształt orzeczenia, wpływa szereg czynników – nie tylko tzw. czysta litera prawa, ale również poczucie zgodności z ogólnie pojętą sprawiedliwością, gdzie znaczenie mają normy moralne. Nie jest to tylko czyste przyporządkowanie stanu faktycznego do obowiązujących przepisów, bierzemy pod uwagę zarówno społeczne poczucie sprawiedliwości, jak i normy moralne, które reprezentujemy.

Sędzia Adam Piechota

Codzienność sędziego to konieczność podejmowania decyzji oraz wzięcie odpowiedzialności za te decyzje, nie tylko moralnej, ale też prawnej. Powstają dylematy, które wiążą się z tym, czy dane orzeczenie – wyrok spełni wszystkie cele, zarówno odnośnie odpłaty wobec winnego, jak i poczucia sprawiedliwego orzeczenia przez pokrzywdzonego. Jest to najtrudniejsze do wyważenia, ponieważ są tu rozbieżne interesy. Z jednej strony jest oskarżony, który stoi pod zarzutem jakiegoś przestępstwa i zmierza do tego, aby nie ponosić odpowiedzialności w ogóle albo ponosić ją w minimalnym zakresie, z drugiej pokrzywdzony, który uważa, że kara powinna być najcięższa.

Są sprawy karne typu znieważenie czy pomówienie, kiedy człowiek opowiada niekoniecznie prawdziwe rzeczy na temat drugiego lub kiedy został znieważony lub pomówiony o jakieś niegodne zachowanie. Nie jest to w sumie najcięższe przestępstwo, bo zagrożone niewielką karą, jednak dla wielu ludzi wydaje się sprawą najważniejszą w życiu. W pewnych środowiskach, np. wśród lekarzy, nauczycieli czy wśród osób zajmujących się działalnością społeczną lub kulturalną, krytyka np. dotycząca wystaw (a były takie sprawy na terenie radomskim) rodzi ogromne poczucie krzywdy człowieka pomówionego o niestosowne zachowanie czy postępowanie. Wtedy reakcja karna, zazwyczaj miarkowana adekwatnie: najczęściej jest to umorzenie albo kara łagodniejsza niż pozbawienie wolności, spotyka się z niezadowoleniem poszkodowanego, który uważa, że to była najcięższa zbrodnia i że represja powinna być jak najbardziej surowa. Tu wchodzimy na delikatny grunt – z jednej strony wolności słowa, prawa do informacji dla społeczeństwa, rozwoju sztuki i kultury, z drugiej – wyczucia cienkiej granicy wolności i ochrony praw i dóbr osobistych. Wypośrodkowanie tych dwóch racji, a co więcej, racjonalne i głębokie ich uzasadnienie jest często poważnym dylematem. Pokrzywdzony, patrząc na wyrok ze swojego punktu widzenia, pozbawia się obiektywizmu w ocenie czynu i skutków, jakie wywołuje on w społeczeństwie, nieraz po prostu to wyolbrzymiając, odbiera to osobiście i wydaje mu się, że wszyscy o tym mówią i to komentują, a tak nie zawsze jest, choć w środowiskach hermetycznych takie rzeczy się dość długo pamięta i komentuje.

Najtrudniej jest wydać surową, drastyczną decyzję w sprawach ludzi prowadzących normalne, zwykłe, ustabilizowane życie. Mają pracę, wykształcenie, rodzinę i nagle nadchodzi taki moment, dzieje się coś, co wywraca całe życie. Oczywiście, zawsze oceniamy również dotychczasowy tryb życia, wcześniejsze ludzkie zachowania. Przykładem tego są wypadki ze skutkiem śmiertelnym, nieodwracalnym, wtedy decyzję strasznie trudno podjąć. Z jednej strony trzeba dać sygnał społeczeństwu, że nie akceptujemy takich zachowań i silnie na nie reagujemy, wymierzając bardzo surowe kary, z drugiej strony nie możemy tracić z punktu widzenia dotychczasowego życia winowajcy.

W sądownictwie nie można kierować się uczuciami. Często fakt, że procesy nie kończą się w pierwszym terminie, nie oznacza złego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, tylko przekonanie, że pośpiech jest złym doradcą; zbyt szybkie decyzje uniemożliwiają nabranie dystansu do sprawy. Sędzia ingeruje w los człowieka, w jego życie na różnym etapie rozwoju, rodzi to ogromne obciążenie moralne i psychiczne, z drugiej strony wymaga odporności, ale nie znieczulicy. Odporności, ale i wrażliwości, co się z tym człowiekiem stanie po odbyciu kary, czy będzie mógł wrócić do społeczeństwa i czy to wahadło sprawiedliwości nie będzie przechylone za mocno. I to jest cały poważny problem – odpowiednie wyważenie tych środków, aby orzeczenie dawało poczucie sprawiedliwości.

Sprawiedliwość jest pewnego rodzaju ideą, podobnie jak równość czy wolność. Szukanie sprawiedliwości jest naturalne dla każdego z nas, każdy chce być sprawiedliwie oceniany. Czym jednak jest sprawiedliwość? Sprawiedliwość to naprawienie krzywdy, „naprawcza" sprawiedliwość, to napiętnowanie w odpowiedni sposób zła i sprawiedliwa odpłata adekwatna do zdarzenia. Jesteśmy wymiarem sprawiedliwości, więc sprawiedliwość jest w sądzie, ona jest w sąd wpisana. Musimy tę sprawiedliwość w każdej sprawie określać i wymierzać. Wobec pokrzywdzonego musi być pewnego rodzaju zadośćuczynieniem wobec zła, które go dotknęło, wobec winnego – napiętnowaniem nagannego czynu. Sądzenie spraw nie może wynikać tylko z litery prawa, trzeba dostrzegać pierwiastek człowieka, sumienia. W odczuciu społecznym powinno rodzić się przekonanie, że naprawiamy zło, że to, co się stało, jest nieakceptowane i rodzi konsekwencje, odpłatę. Trzeba te wszystkie czynniki wyważyć i wydać odpowiedzialną decyzję, zgodną z wewnętrznym przekonaniem, z sumieniem. Odpowiedzialność wiąże się z tym, że sędzia podpisuje wyrok, sygnuje go swoim podpisem. Łatwo jest krytykować, oceniać, że wyrok jest zbyt łagodny, ale niełatwo usiąść w tym miejscu, osądzić kogoś, myśląc o tym, że kara będzie wykonana, zostaną zastosowane takie czy inne represje i napisać pod tym własne nazwisko. Zwyczajnie wziąć odpowiedzialność za całą sprawę – to nie wydaje się już takie proste.

O nowych darach Ireneusza Pierzgalskiego, związkach radomskiego muzeum z łódzkimi artystami i Muzeum Sztuki w Łodzi

Mieczysław Szewczuk

O nowych darach

Prof. Ireneusz Pierzgalski (ur. 1929), wybitny artysta ze środowiska łódzkiego, postanowił podarować Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu pięć kolejnych obrazów, pokazywanych tego lata ma wystawie retrospektywnej w Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi. Ta wspaniałomyślna decyzja profesora przypomniała mi czas pierwszych działań zmierzających do stworzenia w radomskim muzeum zbiorów sztuki współczesnej. Chciałbym przypomnieć o wsparciu ze strony Muzeum Sztuki w Łodzi, ale też o późniejszym zaangażowaniu grona łódzkich artystów w tworzenie radomskich zbiorów. O tym nigdy dotąd nie pisałem.

Dziękując za nowy dar, pięć świetnych obrazów ważnych w twórczości artysty – jeden obraz z 1959 r. z okresu malarstwa informel i cztery z lat 80., kiedy stworzył cykl ponad 30 obrazów z inspiracji chińską Księgą Przemian („obrazy prowokowane heksagramami »I Ching«"). Sam twórca wybrał dla Radomia jeden z największych, o intensywnej kolorystyce „T'ung Jen »13« (Ogień i niebo jako para kochanków)" z 1985 r.; kolejne wybieraliśmy wspólnie. Już wcześniej, w 2000 r., podarował muzeum cztery obrazy z tego cyklu.

Odrębność tradycji dominującej w środowisku łódzkiej awangardy polega m.in. na ścisłym powiązaniu programu intelektualnego twórczości z tym, co wizualne. Ireneusz Pierzgalski jest młodszy od tych, którzy zetknęli się z Władysławem Strzemińskim; jego twórczość w pierwszym okresie kształtowała się równolegle z malarstwem gestu Teresy Tyszkiewiczowej i w stworzonym przez nią kręgu dyskusyjnym. Tak pisał o swoich obrazach z lat 80.: „Wychowany na informel'u, malarstwie gestu, kaligrafii, postanowiłem sięgnąć do ich wschodniego rodowodu. [...] powodowany skłonnością szukania związków między kulturami świata [...]". Powstały intrygujące obrazy, które – podobnie jak wiele dzieł zapisujących mistyczne i kontemplacyjne doświadczenia – należą do nurtu abstrakcji geometrycznej. Na obrazach Ireneusza Pierzgalskiego widzimy barwne płaszczyzny o geometrycznych podziałach i linie sugerujące, że istnieją nad nimi delikatne konstrukcje – tym bardziej intrygują, gdy znamy źródło inspiracji.

O wsparciu Muzeum Sztuki w Łodzi

Rozpoczynając w drugiej połowie lat 70. działania prowadzące do przywrócenia Radomiowi roli ważnego ośrodka sztuki współczesnej, zwróciłem się do Muzeum Sztuki w Łodzi z prośbą o prezentację w Radomiu wybitnych dzieł sztuki XX w. Spotkaliśmy się z życzliwością dwóch wybitnych postaci tego muzeum – dyrektora Ryszarda Stanisławskiego i kierującej działem sztuki nowoczesnej Janiny Ładnowskiej. Łódzkie muzeum wypożyczyło na wystawy dzieła ważne w ich kolekcji, nawet największe skarby, np. Władysława Strzemińskiego obrazy z cyklu „Powidoki" i rysunki z cyklu „Tanie jak błoto". Muzeum Okręgowe w Radomiu pokazało trzy wystawy prezentujące zbiory łódzkie: „Malarstwo polskie 20-lecia międzywojennego – tendencje

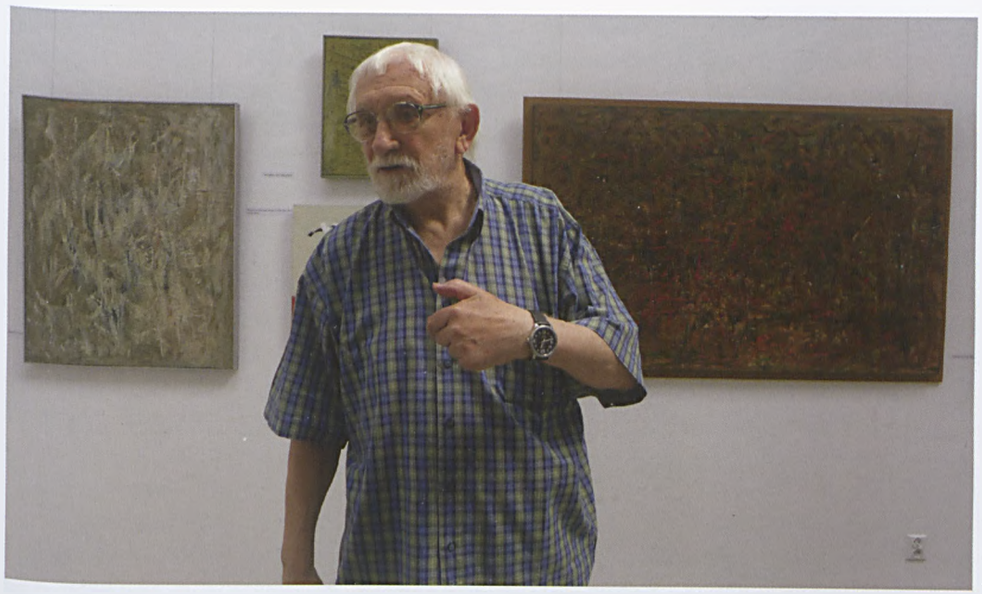

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Ireneusz Pierzgalski na swojej retrospektywnej wystawie malarstwa, Miejska Galeria Sztuki w Łodzi, 2015

lat trzydziestych" w 1978 r., „W kręgu I Wystawy Sztuki Nowoczesnej – Kraków 1948/49" w 1979 oraz „Ekspresjonizm" (malarstwo, rysunek i grafika – prace najwybitniejszych ekspresjonistów europejskich) w 1983 r. Wystawy prezentowały różne nurty sztuki XX w., ale szczególne znaczenie miało pokazanie prac Strzemińskiego, który był uczniem Kazimierza Malewicza i którego twórczość łączy polską sztukę z awangardą europejską początku XX w.

O roli Władysława Strzemińskiego

Historia sztuki awangardowej w Łodzi rozpoczęła się w roku 1931, kiedy zamieszkali w tym mieście Władysław Strzemiński i Katarzyna Kobro. Strzemiński (1893–1952) był inicjatorem stworzenia muzealnej kolekcji dzieł artystów europejskiej awangardy i taka kolekcja powstała. W 1931 r. artyści przekazali ją do muzeum w Łodzi. Po wojnie należał do założycieli łódzkiej uczelni, ale nie uległ nakazowi socrealizmu i został z niej usunięty w 1950 r. (przez ministra Sokorskiego). Zetknęli się z nim tylko studenci pierwszych roczników, jednak jego osobowość i dzieło zaważyły na charakterze twórczości wielu artystów łódzkich następnych pokoleń. Wśród uczniów Strzemińskiego, na których wywarł wpływ, wymienia się trzech, których prace są w radomskiej kolekcji: Stanisława Fijałkowskiego (20 prac), Antoniego Starczewskiego (5) i Stefana Krygiera (1 obraz). Spośród dziesięciu łódzkich twórców reprezentujących ten nurt w radomskim muzeum są większe kolekcje jeszcze dwóch: Ireneusza Pierzgalskiego (teraz 9 obrazów) i Andrzeja Gieragi (27 prac).

Prace łódzkich artystów w radomskiej kolekcji

Już na początku tworzenia zbiorów Muzeum Okręgowe w Radomiu konsekwentnie kupowało prace Stanisława Fijałkowskiego (ur. 1922 r.). Zaliczany jest do klasyków polskiej sztuki współczesnej, a jego twórczość pozostaje jednym z najbardziej odrębnych zjawisk w polskiej sztuce. Uczeń Władysława Strzemińskiego, w swoich przemyśleniach powołuje się także na teorię archetypów. Aby przyswoić studentom pisma teoretyczne europejskiej awangardy, tłumaczył teksty Kazimierza Malewicza i Wasilija Kandyńskiego. W zbiorach radomskich

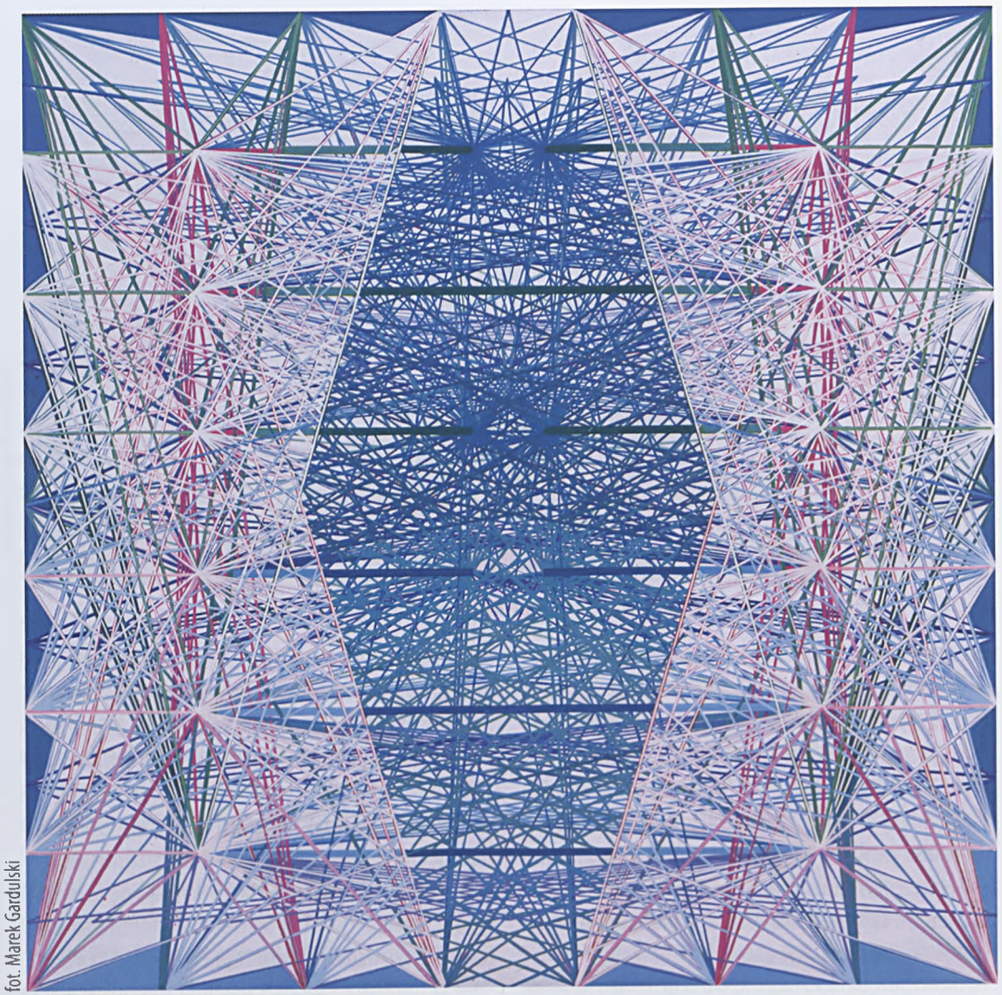

fot. Marek Gardulski

Ireneusz Pierzgalski, „Chien 60 – woda nad jeziorem", 1990, olej, płótno, 100 x 100 cm; kolekcja Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu; dar artysty z 2000 r.

jest 20 prac, w tym 4 obrazy z lat 70., 2 rysunki i 14 linorytów. Wśród obrazów najważniejszy jest wciąż pierwszy, który wybrałem w pracowni artysty – tajemniczy, poetycki „Nachtengel-Engelnacht" (z 1970 r.), którego tytuł sugeruje, że aniołowie pojawiają się nocą.

Inny znakomity artysta, uczeń Strzemińskiego, to Antoni Starczewski (1924–2000). Muzeum posiada jego 5 prac (3 grafiki i 2 rysunki). Starczewski, wychodząc od unizmu Strzemińskiego (zgodnie z ideą jednolitej powierzchni), stworzył model dzieła, które mogło być obrazem, rysunkiem albo grafiką (tworzył też tkaniny, ceramiczne płaskorzeźby i najbardziej oryginalne w jego sztuce „stoły"). W swoich pracach umieszczał na powierzchni papieru szeregi prostych znaków (np. litery – jak w tekście na stronie); jedne odciskał, inne pisał. Są w radomskiej kolekcji rysunki Romy Hałat (1937–2012), której prace pokazywaliśmy w Radomiu. Także jej wystawę zorganizowała w tym roku łódzka galeria w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza, bezpośrednio po wystawie Ireneusza Pierzgalskiego. Roma Hałat tworzyła rysunki według zdumiewającej zasady. Aby powstała jedna praca, rysowała, pisała farbami na dwóch arkuszach czarnego papieru, na jednym z obu stron, i wycinała w arkuszu dwustronnie zarysowanym szeregi małych owalnych otworków, nie odcinając jednak owali całkowicie, a jedynie odwracając je; w rezultacie widzimy maleńkie fragmenty rysunków na spodniej stronie i z arkusza pod spodem. Można uznać, że prace tej dwójki powstawały według podobnego wzoru – płaszczyznę wypełniają szeregi drobnych, nieco różniących się albo niemal identycznych form; ważne są powtarzalność i odmienność, także rytm. Prace rysunkowe Andrzeja Smoczyńskiego (1944–2010) są gęsto zakreślone liniami, na tej powierzchni artysta wykreśla inne linie podyktowane przez myśl, ideę, decydujące o wyjątkowości konkretnej pracy.

Inna jest sztuka Andrzeja Gieragi, który należy do kręgu twórców „posługujących się językiem geometrii" (uczestników plenerów organizowanych przez Bożenę Kowalską). Tytuł jednej z serii jego obrazów, „Wariacje na temat progresji", wskazuje ważny obszar poszukiwań w tej sztuce. Proporcje wyznacza zarówno intuicja, jak i porządek liczb Fibonacciego. Andrzej Gieraga, poszukując np. doskonałego podziału kwadratu i koła, podejmuje długą tradycję – dziełem należącym do tego wątku sztuki i myśli jest rysunek Leonarda ukazujący proporcje ludzkiego ciała. Jego sztuka z latami staje się w coraz większym stopniu kontemplacyjna; w zbiorach posiadamy 9 obrazów z lat 1995–2002 i 18 małych grafik (techniki metalowe). Gieraga związany był z PWSSP w Łodzi, ale od 1994 r. też z Radomiem – przez pracę pedagogiczną w radomskiej uczelni.

O zaangażowaniu łodzian w tworzenie muzeum sztuki w Radomiu

Starczewski to jeden z łódzkich artystów, którzy z uwagą obserwowali powstawanie radomskiej kolekcji. Zależało mu, by rysunek Strzemińskiego, który jego profesor kiedyś mu podarował, cenne dzieło i pamiątka, zakupiło właśnie radomskie muzeum. Wiedział, że wybraną przez nas specjalizacją są zbiory rysunku i nie mamy pracy Strzemińskiego. (Niestety, kiedy powstało Muzeum Sztuki Współczesnej, nie było już żadnych pieniędzy na zakupy).

Utrzymywaliśmy kontakty z grupą łódzkich artystów, zapraszając ich do udziału w organizowanych z inicjatywy Stanisława Zbigniewa Kamieńskiego wystawach rysunku; te wystawy pokazywaliśmy także w Łodzi. Wielu podarowało swoje prace do radomskiej kolekcji – także Grzegorz Sztabiński, Józef Robakowski, Edward Łazikowski, Jan Kubasiewicz czy Andrzej Bartczak; tu chciałbym szczególnie podziękować pracującemu w radomskiej uczelni prof. Andrzejowi Gieradze. Kolejny uczestnik tych wystaw z grona profesorów łódzkiej uczelni, Andrzej Smoczyński, zdecydował, że po jego śmierci część dzieł znajdzie się w Radomiu; ale aktualna sytuacja muzeum uniemożliwia realizację decyzji zmarłego artysty. Świadectwem naszej pamięci o wielkich łódzkich twórcach, Strzemińskim i Kobro, było niezwykłe spotkanie z ich córką Niką Strzemińską, które zorganizowaliśmy w Radomiu (24 listopada 1997 r.) – opowiadała o miłości, nienawiści i dramatycznej sytuacji, w jakiej znaleźli się rodzice. Ich historia jest wstrząsająca. Andrzej Wajda kręci właśnie film o ostatnich latach życia Strzemińskiego.

Mieczysław Szewczuk

PS Stworzyliśmy z prof. S.Z. Kamieńskim w Radomiu Muzeum Sztuki Współczesnej, najpierw wybierając dzieła do zakupu, potem gromadząc dary stanowiące obecnie większość obiektów w kolekcji. Powstało muzeum sztuki II połowy XX w. – o innym niż łódzkie programie; wątek sztuki awangardowej istnieje tu obok innych, ale należy do najważniejszych.

Obrazy Krzysztofa Mańczyńskiego w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu

Lidia Ziemińska

Prace Krzysztofa Mańczyńskiego, jednego z najciekawszych współczesnych radomskich malarzy, można było oglądać od 10 lipca do 13 września 2015 r. w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu. W tym roku artysta obchodzi 75. urodziny, co stało się pretekstem do przypomnienia jego twórczości. W kolekcji muzeum znajduje się duży zbiór zarówno rysunków, jak i obrazów jubilata z różnych okresów jego pracy artystycznej.

Ekspozycja stanowiła dopełnienie dwóch innych wystaw malarstwa i rysunku otwartych wcześniej – Nikifora oraz Edwarda Dwurnika. Edward Dwurnik podkreśla, że twórczość Nikifora Krynickiego wywarła znaczący wpływ na jego drogę twórczą, Krzysztof Mańczyński nie składa takich deklaracji, ale można domyślać się i dopatrywać także w jego malarstwie inspiracji dziełem Nikifora.

Artysta ukończył warszawską Akademię Sztuk Pięknych, dyplom przygotował na Wydziale Grafiki w pracowni ilustracji książkowej prof. Jana Marcina Szancera. Pokazywane tu rysunki tuszem należą do zespołu jego prac dyplomowych i stanowią ilustracje do książki Curzio Malapartego *Kaputt*.

Na wystawie mogliśmy zobaczyć dwadzieścia kilka obrazów olejnych z kolekcji Muzeum Sztuki Współczesnej (część to dary artysty) oraz rysunki wykonane głównie tuszem i piórem oraz pędzlem i tuszem lawowanym, wśród nich przejmujący cykl „Kobiety z Bośni" (1994/95) czy prace z cyklu „Katalonia" (1995) – reminiscencje z podróży do Hiszpanii.

W świat niezwykłej wyobraźni artysty poprowadzą nas znakomite przedstawienia miasta z lat 70., 80. i 90. ub. wieku, później powstaje więcej pejzaży ziemi radomskiej i Bieszczadów. Autor niejednokrotnie nadaje im tytuły „Z moich stron". Na rysunkach często pojawiają się postaci, w męskich twarzach rozpoznać można nawiązania do autoportretu.

Obrazy Mańczyńskiego malowane są z dużą swobodą i ekspresją. Śmiało zestawia różnobarwne formy budowli z fantastycznie kolorowym niebem, raz w tonacji żółci, raz różu bądź czerwieni. Gamy barwne Mańczyńskiego są rozbudowane i wyszukane, jak to u kolorystów i ich uczniów. Chłodne szmaragdowe zielenie sąsiadują z gorącymi czerwieniami, niuanse kolorystyczne dopełniają całości. Niektóre fragmenty obrazu są tak bogate kolorystycznie, że ciężko znaleźć nazwę dla wielu odcieni używanych kolorów. Z upodobaniem stosuje kontrasty: formy, koloru i faktury.

Zachwyca malarski, wyrafinowany język artysty, bogactwo użytych środków. Mańczyński stosuje rozmaite techniki, miesza ze sobą warsztaty, by osiągnąć odpowiedni wyraz, uzyskać oczekiwaną ekspresję. Stara się różnicować materię fragmentów obrazu – farbę nakłada szpachelką i poddaje ją różnym działaniom: wyskrobuje fragmenty koloru, drapie szpachlą bądź innym narzędziem niezastygłe jeszcze powierzchnie, stosuje techniki podobne w efekcie końcowym do sgraffita: spod wyskrobanych powierzchni ukazuje się inny kolorowy rysunek.

Jego twórczość wykracza daleko poza ilustracyjność przedstawień, Krzysztof Mańczyński wypracował własny, niepowtarzalny język wypowiedzi.

Lidia Ziemińska

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Karol Łukasiewicz

Urodzony w 1982 r. w Radomiu. Uczył się w radomskim Liceum Sztuk Plastycznych, 1998–2002. Rozpoczął studia w Katedrze Sztuki Wydziału Nauczycielskiego Politechniki Radomskiej, 2002/2003. Potem studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu na kierunku film animowany. Uczęszczał do pracowni malarskiej prof. Włodzimierza Dudkowiaka. Dyplom uzyskał w pracowni animacji prof. Hieronima Neumanna w 2011 r. Ukończył również kurs animatora lalkowego w studiu filmów animowanych Se-Ma-For w Łodzi. Od kilku lat jest związany z radomskimi instytucjami kultury – wcześniej z „Łaźnią" Radomskim Klubem Środowisk Twórczych i Galerią, obecnie pracuje w Ośrodku Kultury i Sztuki „Resursa Obywatelska". Zajmuje się malarstwem, grafiką i ilustracją oraz filmem animowanym.

Reprodukowane tu obrazy były pokazywane na wystawie indywidualnej w Resursie Obywatelskiej w 2015 r. Tekst Grzegorza Forysiaka stanowi komentarz do tej prezentacji, sam autor dodał na koniec kilka zdań od siebie.

Drewno i cukier rzadko spotykają się w realnej rzeczywistości, jeszcze rzadziej współpracują czy tworzą jedność.

Drewno jako materiał konstrukcyjny oraz cukier jako źródło energii, połączone w tytułowy „Drewocuker" reprezentują ujawniające się na obrazach fuzje dychotomii: obiektów statycznych oraz przeciwstawnych im form w ruchu, organicznie powiązanych struktur i luźno rozproszonych elementów, bezosobowych kształtów z żywymi organizmami czy konkretnych i powszechnych przedmiotów z elementami nieokreślonymi lub abstrakcyjnymi.

Różnorodność oraz przeciwstawność zestawień – często intencjonalna, ma stanowić dla odbiorcy wyzwanie, bowiem ten mimowolnie wciela się w rolę detektywa i niczym Sherlock Holmes angażuje całość swojej umysłowej „aparatury detektywistycznej" do rozszyfrowania świata przedstawionego. Nabyte do tej pory fragmenty wiedzy okażą się owocne w procesie dedukcji, kiedy to odbiorca, analizując widoczne na obrazie znane sobie elementy i zjawiska, skorzysta ze swej wiedzy świadomej, racjonalnej – angażując tym samym logiczną i analityczną lewą półkulę swojego mózgu. Ale też w przypadku elementów bądź związków trudniejszych lub mu nieznanych, w procesie indukcji uruchomi również swoją wiedzę podświadomą, czyli intuicję – wtedy zaangażuje do pracy odpowiedzialną za myślenie kreatywne i abstrakcyjne prawą półkulę.

Podejmując stawiane przez fuzję wyzwanie, odbiorca zaczyna angażować całość swojej aparatury poznawczej i rozumowej, dzięki czemu ma szanse na pełniejsze, bardziej kompletne odbieranie treści świata, choćby wyłącznie tego przedstawionego na obrazach Karola Łukasiewicza.

Zamysł taki może być tutaj bardzo bliski buddyjskiemu Koanowi – historii opowiadanej przez mistrza uczniowi w formie krótkiej anegdoty, gdzie na drodze początkowo prostej opowieści kończącej się zaskoczeniem i często towarzyszącym temu paradoksem (wyzwanie), uczeń (odbiorca), w ramach takiego „ćwiczenia dla umysłu" zostaje zepchnięty z utartych ścieżek myślowych, zazwyczaj zbyt opartych na logice lewej półkuli.

Analogię taką mógłby podkreślić choćby sam tytuł wystawy, który przez zatraconą czytelność zderzonych w nim słów i swoją semantyczną niejednoznaczność, niczym Koan może przygotować umysł odbiorcy do percepcyjnego wyzwania, a już z pewnością go o takim wyzwaniu informuje.

Grzegorz Forysiak

Pamiętam wczesną, towarzyszącą mi chęć opracowywania czegoś w rodzaju swojego bestiariusza i choć gdzieś to uciekło i nie realizuję tego planu w sposób konsekwentny, to widzę, że gdzieś on jednak w pracach się pojawia, w tych „ożywionych" czy antropomorficznych bytach, których wcześniej nie spotkałem i nie wyobrażałem sobie, ale czuję, że coś o nich wiem.

Twórczość nawiązująca do języka popularnego lub umiejąca z niego skorzystać, może być bardziej komunikatywna i zdobyć lepszy kontakt z publicznością. Musi jednak używać go bardzo rozważnie i krytycznie.

Umiejętność odrębnego postrzegania składowych tego, co Grzegorz określił „fuzją dychotomii", jak i widzenia ich symbiozy, jest bardzo ważna dla odbioru tych prac.

Karol Łukasiewicz

„Kombajn do zbierania gryzącego dymu", 2014, olej / płótno, 120 x 90 cm

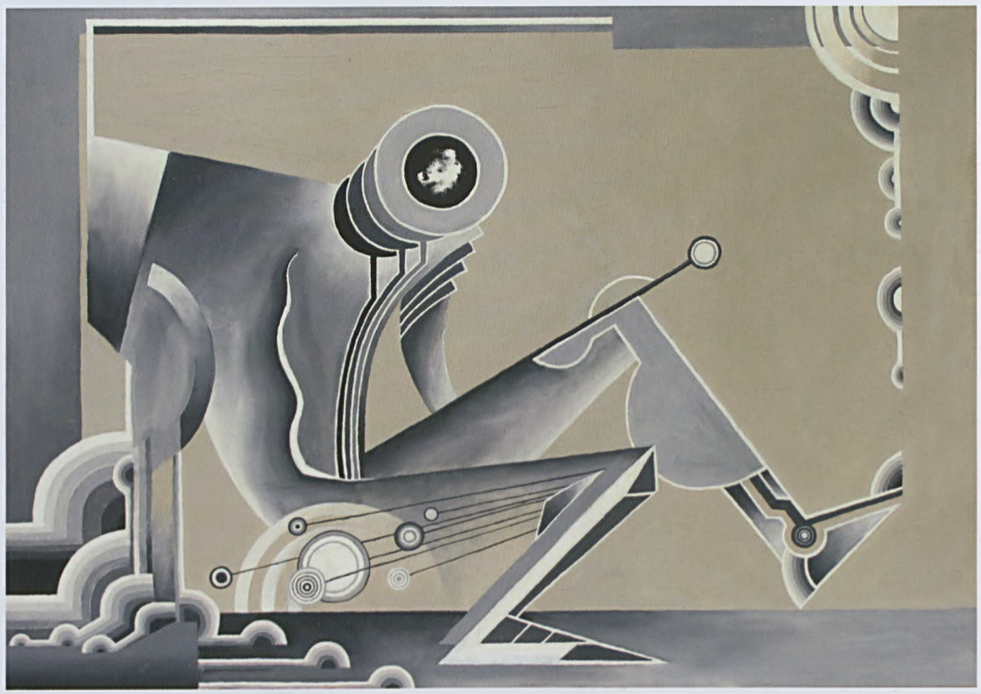

„Palmas", 2012, olej / płótno, 70 x 100 cm

na stronie następnej
„Gotowane na twardo", 2014, olej / płótno, 100 x 140 cm

„Obecność obcego", 2014, olej / płótno, 90 x 120 cm

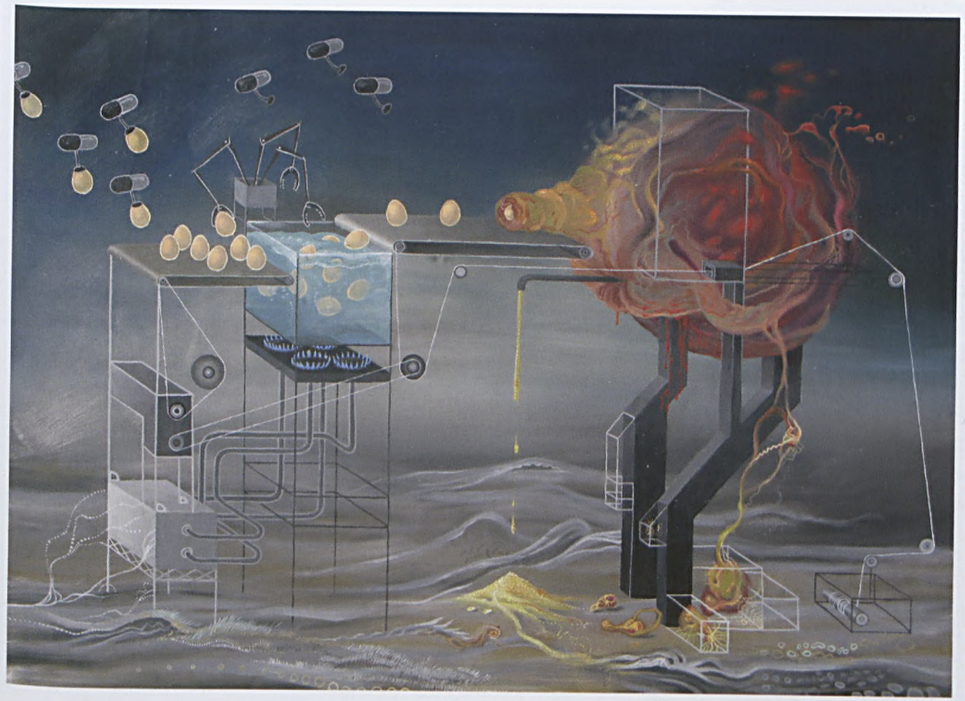

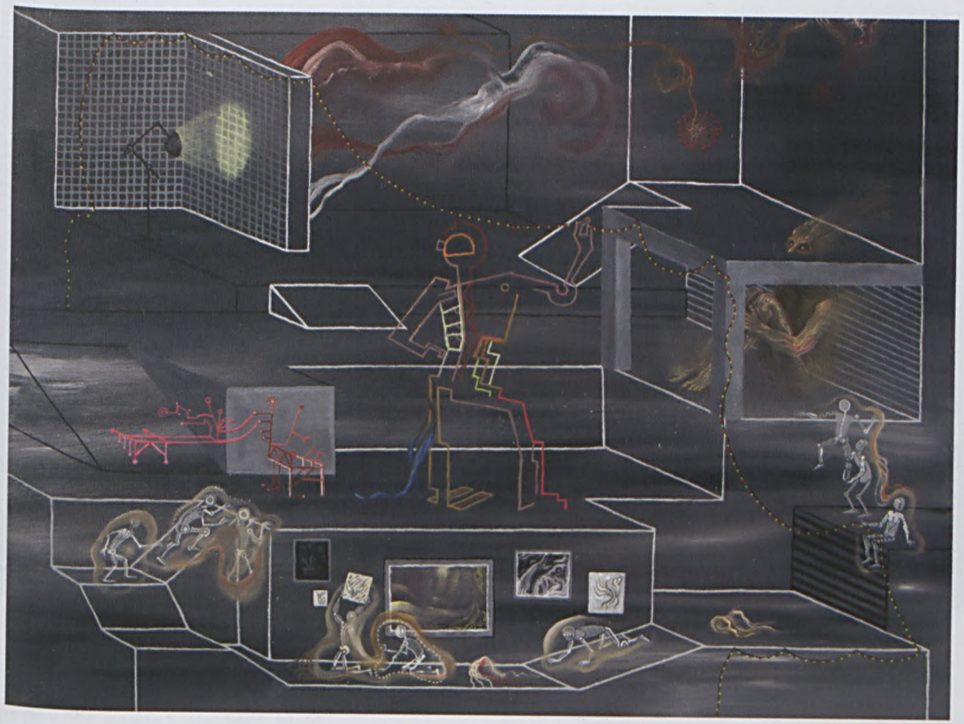

„Blob", 2014, olej / płótno, 120 x 90 cm

„Niebieski", 2014, olej / płótno, 140 x 100 cm

„Masel", 2014, olej / płótno, 100 x 70 cm

Soplicowo utracone

Robert Utkowski

Każdy kiedyś traci swój dom. Taki jakby raj utracony. Takie utracone Soplicowo Żeromskiego.

Nie bardzo w to wierzyłem kiedyś, ale podobno charakter człowieka zmienia się co siedem lat. Dlaczego co siedem? Że tyle potrzeba, żeby cały człowiek stał się inny, bo wymieniły mu się w tym czasie wszystkie komórki? Zbyt proste. Może siedem lat, bo to bardzo długo, wystarczająco długo, żeby poznać dziesiątki nowych osób, a każda nowa osoba zostawia w nas jakiś ślad, tak mówią. To wystarczająco długo, żeby stworzyć sobie kilkunastu nowych wrogów, a każdy wróg z chęcią zostawiłby na nas ślad. To naprawdę całkiem sporo, żeby przeczytać kilka tuzinów książek, a w każdym razie przynajmniej kilka, albo obejrzeć kilkadziesiąt filmów. Zakładając, że przynajmniej jeden na dziesięć nie będzie beznadziejnie przewidywalny, też odciśnie na nas swoje piętno. To na tyle długo, żeby się znudzić oglądaniem beznadziejnych filmów, odkryć uroki Madagaskaru, poczuć zew natury, próbować udowodnić sobie i innym, że choć lata lecą, my wciąż tacy sami. I to naprawdę wystarczająco długo, żeby wreszcie dostrzec, że tego czasu nic nie zatrzyma, że świat starzeje się dużo wolniej od nas, mało tego, jest coraz młodszy, szybszy, bardziej kolorowy, ale te kolory już nie wszystkie dla nas. Czy to źle? Nie. Dobrze pewnie też nie, ale tak raczej smutno się może zrobić.

Wydawało mi się kiedyś, że jestem leniwy. Zasadniczo bowiem jestem. Ale ciężko pracuję, bo, mówiłem sobie, pracuję teraz po to, żeby za kilkanaście lat już móc pracować mniej. No i, przecinek, nic z tego. Świat pomachał mi przed oczami zatęchłą szmatą nadziei i odjechał jak pociąg do Berlina z książki Jarka Rabendy.

Czasem jeszcze czytam jakąś książkę.

Czasem jeszcze jakąś rozumiem.

Więc miało być z roku na rok łatwiej, a nie jest. Po 23 latach firma, w której pracuję, musiała się przeprowadzić. Niby nic. A jednak coś. Wieczory spędzone na pakowaniu, przenoszeniu, ustawianiu, układaniu wszystkiego od nowa. Niby wszystko tak samo jest, a nie jest. Za plecami zostały stare mury, w które wsiąkły te wszystkie lata, twarze, rozmowy, dyskusje, kłótnie. Za chwilę zresztą nie będzie tych murów, bo coś mi mówi, że prędzej czy później tamten budynek ktoś kupi i wyburzy, bo teren w sam raz na nowiutki obiekt, szeleszczący stalą i chromem, przyprószony nowym tynkiem. Z płytkami na elewacji, która szybciej, niż zdaje się projektantom, stanie się niemodna i też odejdzie w przeszłość.

Więc przenieśliśmy się, układając na metalowych półkach gromadzone latami rzeczy, które w dużej części już nie będą do niczego potrzebne, ale jakoś tak głupio wyrzucać wszystko. Więc to takie niby-nowe otwarcie, niby-nowy oddech. I choć jest w tym jakiś posmak nowości, odrobina adrenaliny, która napędza, to jednak więcej jest zmęczenia i zwyczajnego już-mi-się-nie-chce. Jak mówił Duńczyk w „Vabanku": w moim wieku spada zapotrzebowanie na zysk, a rośnie popyt na święty spokój. Ale nie można sobie na to pozwolić. Kto się nie rozwija, ten się cofa, w końcu.

Ale mam kota. W domu. Małego jeszcze, więc szaleje. Gania kłębki kurzu, skacze na ściany. O, i jak w starych bajkach bawi się kłębkiem wełny. Naprawdę, jakbym kupił sobie kota z bajek dzieciństwa. Kupił. Za złotówkę, kumpel nie miał co z nimi (małymi, było ich pięć) zrobić. Tak sobie myślę, że i on po jakimś czasie jednak zwolni. Przestanie skakać na ściany i gonić własny ogon. Włóczka

mu się znudzi. Że nabierze dystansu, ułoży się w ciepłym fotelu i będzie miał głęboko pędzący gdzieś świat. Zrobię sobie herbatę, starym wiecznym piórem skreślę kilka słów w staroświeckim notatniku moleskine, żona zapyta o jakiś językowy problem, może literacki, o, właśnie, np. skąd to Soplicowo u Żeromskiego, przecież to raczej Mickiewicz? Z twoich notatek, odpowiem, z jakiegoś artykułu, może ze snu. Kocur otworzy na chwilę oczy, spojrzy tak jakoś dziwnie, ziewnie i zaśnie.

Robert Utkowski

Czarne słońce tropików

Anna Spólna

Szukam cienia Sandry Valentine" – mówi narratorka *Wyspy Łzy* Joanny Bator, książki, która jest dziwną, modną ostatnio gatunkową hybrydą: trochę powieścią przygodową, trochę reportażem z wyprawy w tropiki, trochę esejem o ucieczce przed własnymi demonami. Sandra zaginęła bez śladu na Sri Lance w marcu 1989 r., ale próby podążania jej śladem szybko ujawniają swoją pretekstowość. Losy Amerykanki muszą pozostać tajemnicą, by autorka mogła tworzyć alternatywne, prawdopodobne wersje zdarzeń: sceny brutalnego morderstwa, gwałtu, zmiany tożsamości, utraty pamięci. „Oto, co dzieje się z takimi, jak my – zdaje się mówić autorka *Chmurdalii*. – Z ludźmi niedopasowanymi, którzy nie potrafią się zadomowić i wiecznie szukają, pędzeni wewnętrznym imperatywem przygody".

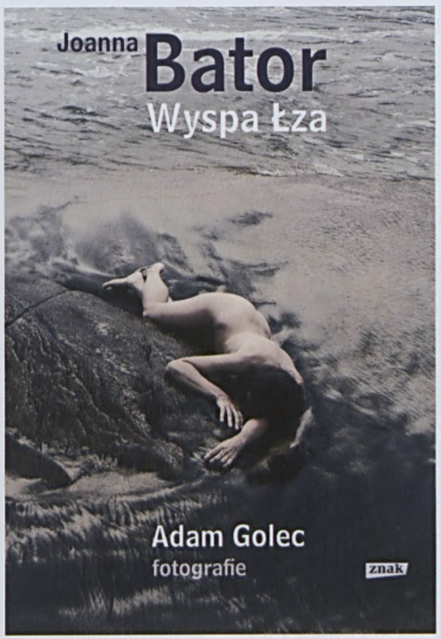

Podróż na wyspę miała być dla pisarki, od dawna zakochanej w Azji, inspiracją i nowym otwarciem. Jak dla Witkacego, który przed stu laty towarzyszył tu Bronisławowi Malinowskiemu w antropologicznej wyprawie badawczej z Cejlonu do Australii. Bator podróżuje także jego tropem, by zrozumieć „tropikalny obłęd, cejlońską odmianę wariactwa" dotykającą artystę, którego ekscentryczną twórczość podziwiała jeszcze jako licealistka (s. 28).

Kłopot w tym, że tropy podróżników, których zwabiła Wyspa Łza – Malinowskiego z Witkiewiczem, Sandry Valentine, dawnych portugalskich i holenderskich kolonizatorów, współczesnych turystów, spotykanych po drodze – prowadzą donikąd. Są równie nieczytelne jak świat rdzennych mieszkańców Sri Lanki, nazywanych przez Bator (z uświadomioną protekcjonalnością) przydomkami Pinkboj, Oset, Kumaty Kumar... Ta książka została nadpisana – jako komentarz – nad własną ciemnością autorki i aż nazbyt wyraźnie zmaganie się z depresyjnymi skłonnościami (zwanymi częściej Czarnym Słońcem melancholii) kieruje logiką jej skojarzeń. Stąd kult Freudowskiego „niesamowitego", powracający motyw Doppelgängera – w postaci bliźniaczych sióstr, lustrzanych odbić, przybranych tożsamości Anny Karr i Sandry Valentine, fantazmatycznych wyobrażeń o androgynii jako psychofizycznym ideale.

Narratorka szuka wokół siebie potwierdzenia tego, z czym przyjechała na Cejlon, prowadzi nas przez kolejne sesje terapeutyczne:

„Kosmaty jakiś strzęp wrzeszczący", tak to wygląda na początku, kiedy mroczna bliźniaczka wyciąga do mnie ręce ze swoim darem i nie mogę go odrzucić, choćbym akurat fantazjowała o spokojnym życiu i gotowaniu zupy pomidorowej. Moje zadanie polega na przerobieniu tego czegoś na słowa [...]" (s. 95).

Są w książce liczne opisy walki z własnym ciałem, przybierające postać męczącej psychomachii, podejrzanej dla samej narratorki:

Czy na siłę szukam znaków tam, gdzie ich nie ma? Może po prostu spotkało mnie zwykłe zatrucie, ulga, jaką czuję, związana jest z tym, że zostałam uzdrowiona, a metafizyczne poczucie formowania się ważnego myślowego odkrycia, jakie ta straszna noc przyniosła, jest tylko moją obroną przed samotnością i pustką tej podróży? (165).

We wstępnym rozdziale pisarka deklaruje: „Nie biorę ze sobą nic prócz zeszytu z zalążkami opowieści i wyostrzonych zmysłów [...]" (s. 29). W ostatnim postrzega swoją książkę jako „najprawdziwszą autofikcję", którą napisała „kierowana rozpaczą i brawurą" (s. 268). To nie najlepsze połączenie, bo brawura płynąca z rozpaczy dopuszcza zaniedbanie zwykłego rzemieślniczego obowiązku, którym jest dbałość o konstrukcję opowieści. Sama Bator dostrzega rozpadające się wątki, niedokończone historie, natłok prywatnych obsesji, ale nie chce (czy nie może) nadać im kształtu. Być może dlatego usiłuje pokierować lekturą tak, jakby nie ufała intuicji czytelników: „Jednym z bohaterów *Wyspy Łzy* jest czas" – pisze (s. 129), a w podobny sposób poucza nas nader często.

Poruszające wydają mi się nieliczne partie *Wyspy Łzy*, w których Bator wraca do punktu wyjścia: wałbrzyskiego podwórka, na którym opuszczona przez rodziców, ze swoją milczącą babcią lepi czarne babki z wyskrobanej łyżką węglowej ziemi. Zakopanego na Wzgórzu Giedymina słoika z nastoletnimi marzeniami. Szafy, w której chowała się, żeby rozmawiać z wyimaginowaną przyjaciółką. Te wspomnienia niewiele mają wspólnego z Cejlonem, choć, być może, bez egzotycznej podróży nie mogłyby się skrystalizować.

***

Na tegorocznych Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie będzie można oglądać cykl 14 fotografii Adama Golca włączonych w książkę Bator na prawach szczególnego komentarza. Te obrazy tylko po części ilustrują narrację, są właściwie autonomiczne, choć bardzo potrzebne, bo wprowadzają czytelnika *Wyspy Łzy* jeszcze głębiej w mrok. Czarno-białe (z jednym wyjątkiem), dramatyczne, odzierają Sri Lankę z przepychu kolorów, zmysłowego blichtru i każą skoncentrować wzrok na posągowości ludzkich ciał, dziwacznych kształtach roślin i zwierząt, mieszaninie ludzkiej biedy i bezkresnego krajobrazu. Zdjęcia Golca mają w sobie niesamowitość, ale także bezwzględną wiarygodność, której nie odnajduję w opowieści Bator.

Anna Spólna

Joanna Bator, *Wyspa Łza*, fotografie Adam Golec, Wydawnictwo Znak, Kraków 2015.

Chłopak z radomskich Plant

Z Jerzym Aleksandrem Wlazło rozmawiała Ilona Michalska-Masiarz

Dlaczego Pan pisze? Dlaczego jest to dla Pana tak ważne, że od wielu lat poświęca Pan temu czas mimo że, jak sam Pan przyznaje, niektóre teksty leżały w zakamarkach szuflad?

Nie wiem. To jedyna odpowiedź na pierwszą część pytania i całkowicie szczera. Już w szkole podstawowej podobało mi się pisanie wypracowań. Przyjaciel z ławki namówił mnie, abyśmy opisali nasze przygody z podwórka, ale nie umiałem się sztywno trzymać rzeczywistości i zawsze ciągnęło mnie, żeby dodać coś od siebie. Widzi pani, pisanie fabuły może być wspaniałą zabawą. Nie mam pojęcia, jak tworzą pisarze, nie znam ich zbyt wielu, ale czasem trafiam na wywiady, z których wynika, że całymi tygodniami konstruują portrety psychologiczne postaci, rozpisują kolejne wątki. I pewnie tak trzeba pisać książki, ale ja nie potrafię. Moi bohaterowie żyją własnym życiem, kształtują się na kolejnych stronach. To dlatego we wszystkich moich książkach każdy bohater, nawet ten drugoplanowy, ma opisaną przeszłość. W ten sposób go poznaję. To samo dotyczy akcji moich książek fabularnych. Nigdy nie wiem, jak się skończą. Odkrywanie tego to prawdziwa przygoda.

A ponieważ bardziej pisałem dla siebie niż dla innych, moje pierwsze książki leżały najpierw w szufladach, a potem na dyskach komputera. Wszystko zmienił internet. Wydawnictwa zaczęły przyjmować propozycje w formie elektronicznej i któregoś dnia postanowiłem spróbować. Jakoś nie wierzyłem, że moje książki mogą się komuś spodobać i przepisywanie ich przez kalkę na maszynie wydawało się bez sensu. A tu okazało się, że jednak się spodobały. To zaskakujące. I bardzo miłe. Proszę też dobrze zrozumieć: ja marzyłem o wydaniu chociaż jednej książki. Ale byłem przekonany, że to marzenie nierealne. Bo książki piszą pisarze, a nie chłopak z radomskich Plant.

Jakie były początki Pana pisania?

Już trochę opowiedziałem. I rzeczywiście tych początków trzeba szukać w klasie szóstej szkoły podstawowej. Zaszywałem się w olbrzymiej łazience rodzinnego domu, odkręcałem wodę, włączałem ulubioną muzykę, w soboty Listę Przebojów Trójki (wtedy była emitowana w soboty), patrzyłem w lustro i historie układały się same. Do dzisiaj wymyślanie historii najlepiej wychodzi mi, gdy słyszę szum wody. Pomysły przychodzą wówczas zupełnie same. Tylko czasu mi brakuje, żeby wszystkie spisać.

Znany jest Pan jako miłośnik kryminału. Dlaczego właśnie ten gatunek Pana najbardziej interesuje?

Jedni lubią romanse, inni fantasy lub science fiction, a ja kryminały. Wychowałem się między innymi na angielskich kryminałach. Odpowiadał mi ich mroczny klimat, tajemniczość. Jako dziecko nie znosiłem się bać, ale wyimaginowany strach ma jednak w sobie coś pociągającego.

Ale ja lubię nie tylko kryminały. Czytam dobrą literaturę, niezależnie od gatunku. Biografie, reportaże, książki popularnonaukowe. Dla mnie dobrze napisana książka to przede wszystkim język, konstrukcja zdań, akapitów, wreszcie rozdziałów.

Ale w działalności pisarskiej skupił się Pan przede wszystkim na kryminałach... Choć ostatnio próbuje Pan też dotrzeć do serc młodzieży. Myślę o powieści *Na wczoraj*. Czytałam bardzo pozytywne recenzje. Skąd pomysł na tę książkę i na takiego właśnie adresata?

Po raz kolejny muszę odpowiedzieć, że nie wiem. Po prostu któregoś dnia ułożył się początek tej historii, więc ją napisałem. Nie zastanawiałem się, kto będzie jej odbiorcą. Autorzy recenzji twierdzą, że nadaje się zarówno dla młodzieży, jak i dla dorosłego czytelnika. To pewnie dlatego, że napisał ją dorosły facet, w którym wciąż jeszcze siedzi ten chłopiec chcący spisywać swoje historyjki.

***Na wczoraj* ukazało się tylko w wersji elektronicznej... Jak Pan ocenia taką formę wydawniczą? Czy uważa Pan, że papierowa książka to przeżytek?**

Wielokrotnie mieliśmy do czynienia z takimi przeżytkami. Miały zniknąć teatr, radio, kino, rower i wiele innych. Mogę się oczywiście mylić, ale wydaje mi się, że papierowa książka będzie funkcjonować równolegle z publikacjami elektronicznymi. Bo przecież trudno odmówić e-bookom zalet: zajmują mniej miejsca, są tańsze, więcej ich można zabrać na wakacje. A *Na wczoraj* ukazała się w takiej wersji, bo podobno książki dla młodzieży obecnie nie sprzedają się zbyt dobrze. Poza tym chciałem też spróbować czegoś nowego. No i się udało.

Nie mogę nie zapytać o książkę, która jest na razie największym Pana sukcesem (wierzę i życzę tego Panu, że nie będzie to jedyny taki sukces...), czyli o reportaż *Pęknięte miasto. Biesłan*. Proszę opowiedzieć czytelnikom „Miesięcznika Prowincjonalnego" o tym, jak doszło do jego powstania, jak wyglądał proces twórczy.

Proszę pani, sukces to słowo mocno przesadzone dla zupełnie nieznanego na rynku wydawniczym autora. A i rozumieć można je różnie. Z jednej strony dla mnie prywatnie sukcesem był *Kot Syjonu*, bo to pierwsza moja książka fabularna, która trafiła na rynek i zebrała z miejsca kilkaset naprawdę entuzjastycznych recenzji. Byłem zaskoczony. Trafiła nawet na listę Stu Kryminałów Wszechczasów, była nominowana do międzynarodowej Nagrody Angelusa. Poczytność *Biesłanu* zaś to zupełnie inna sprawa. Jej temat to straszliwa, wielka tragedia, która rozegrała się ponad dziesięć lat temu w tamtejszej szkole. Opowieści Zbyszka Pawlaka, współautora książki, człowieka doskonale znającego Biesłan i mieszkających tam ludzi, naprawdę mną wstrząsnęły. Pomyślałem, że powinni poznać je także inni. Obudził się we mnie dziennikarz. Przecież pracowałem w mediach przez ponad 20 lat. Wiedziałem też, że dobrze napisana książka o wydarzeniach w Biesłanie powinna zainteresować wydawnictwa książkowe. Mam zresztą nadzieję, że jest dobrze napisana, bo z wydaniem jej rzeczywiście nie było problemu. Kilku poważnych recenzentów napisało, że udało mi się podtrzymać najlepsze tradycje polskiego reportażu. Czytelnicy też chwalą nie tylko bogatą treść, ale też sposób narracji.

Książka została dobrze przyjęta, miała bardzo dobre recenzje... Ale proszę opowiedzieć o tym, jak ona powstawała. Uczestnicy spotkań autorskich znają tę historię, ale wielu czytelników naszego czasopisma jeszcze nie miało okazji jej poznać. Pan mieszka w Warszawie, a jej współautor – Zbigniew Pawlak – w Londynie...

Internet zmienił także możliwości i zasady współpracy. Rolling Stonesi, komponując nowe utwory, nawet się nie spotykają, a jedynie przesyłają sobie e-mailem fragmenty nagrań, pomysłów na kompozycje. My pracowaliśmy podobnie. Najpierw przez telefon uzgadnialiśmy pewne wątki, potem Zbyszek przesyłał swoje notatki, ja tworzyłem kolejne fragmenty książki, odsyłałem mu do akcepta-

cji, on nanosił poprawki. I tak do skutku. Mieliśmy pracować nad książką trzy miesiące, pracowaliśmy półtora roku. Wreszcie na koniec zamknęliśmy się w mieszkaniu pod Londynem i przez tydzień napisaliśmy ostatnie rozdziały. Okazało się, że technika nie zastąpi interakcji personalnej. Na szczęście.

Książka cieszy się dużym zainteresowaniem czytelników, często odbywacie Panowie spotkania autorskie w całej Polsce.

Rzeczywiście, spotkań zorganizowano tak wiele, że czasem musieliśmy jeździć pojedynczo, bo bilokacja jest nam obca. Wydanie *Biesłanu* zbiegło się z 10. rocznicą tamtej tragedii, a to zawsze rozbudza wyobraźnię i wspomnienia. Ludzie są ciekawi, to normalne, stąd popularność kanałów informacyjnych. Jednak najważniejsze wspólne doświadczenie z tych spotkań to refleksja: nie zatraciliśmy człowieczeństwa. Potrafimy współczuć. I to niezależnie od tego, w jaki sposób politycy rządzą światem. *Biesłan* ukazał się w chwili, gdy zaczęła się wojna na Ukrainie. My, Polacy, wciąż mamy problem, czy lubimy Rosję i Rosjan, czy wręcz przeciwnie. Ale akurat w tym momencie zaczęliśmy znowu zbiorowo nie lubić. I w takiej rzeczywistości Zbyszek i ja opowiadaliśmy Polakom o tragedii, która rozegrała się w Rosji. Bo Biesłan, o czym rzadko się pamięta, to Rosja. To Europa. Reakcje słuchaczy były ponad polityką. Ktoś kiedyś mnie zapytał, po co opisywać tak straszne wydarzenia. Jeżeli opis tragedii obudzi tylko jednego człowieka, to znaczy, że było warto.

Chciałam zadać jeszcze jedno pytanie, które zawsze zadaję swoim rozmówcom. Jest to pytanie o prowincję. Mówi Pan, że Radom siedzi w Panu bardzo mocno. Chyba właśnie dlatego – i bardzo to cenię w Pana twórczości – tak dużo tego miasta w Pana książkach... Lecz dla wielu jego mieszkańców jest prowincją. Pan się w Radomiu urodził, spędził Pan tu wiele lat, ale teraz patrzy Pan na nie z perspektywy Warszawy. Czym dla Pana jest prowincja? Czy dla pisarza jest przeszkodą? Czy łatwiej być pisarzem w dużym mieście?

Dla mnie Radom nigdy nie był i nadal nie jest prowincją. Przecież to po Warszawie największe miasto na Mazowszu. W przypadku Radomia jego prowincjonalizm to efekt mentalności wielu ludzi, którzy w poszukiwaniu wielkiego świata uciekają do innych miast lub poza Polskę. Wraz z nimi ucieka kapitał finansowy, gospodarczy, kreatywny. Szkoda, bo w efekcie inni, jak ja, również opuszczają miasto, ponieważ dostają propozycję pracy spoza Radomia. Za tę sytuację winię od lat władze miejskie, a wcześniej też i wojewódzkie. Większość z nich traktowała swoje stanowisko jako trampolinę polityczną w ucieczce do Warszawy, na czym ucierpiało miasto. Wciąż wierzę, że kolejne wybory coś zmienią, i wciąż się rozczarowuję. Żałuję, bo poznałem ludzi przyjeżdżających do Radomia na spotkania autorskie, którym miasto się spodobało. Zachwycali się jego urokliwymi zaułkami, parkami, Rynkiem, Starym Miastem, ulicą Rwańską i Piłsudskiego. Oczywiście, nigdy nie będziemy Gdańskiem ani Krakowem, ale jesteśmy jedynym takim miastem na Mazowszu! Więc dlaczego to ukrywać? Proszę mi wierzyć, że promocja potrafi zdziałać cuda. Czy pani wie, że po przeczytaniu *Na wczoraj*, książki, w której Radom jest bohaterem tak samo ważnym jak ludzie, wiele osób pojechało poznać obce im do tej pory miasto? Na Facebooku zupełnie obce osoby polecały sobie, aby *Na wczoraj* służyła jako przewodnik po Radomiu. Tym bardziej że przecież książka jest ilustrowana pięknymi, klimatycznymi zdjęciami, które zrobiła moja żona. To cudowne. I dlatego będę wciąż wracał do Radomia i o nim pisał.

Dzisiaj, gdy to internet kreuje świat, miejsce zamieszkania dla autorów książek nie ma większego znaczenia. Ja mieszkam w Warszawie, bo tam pracuję, ale gdybym mieszkał w Radomiu, pewnie napisałbym bardzo podobne książki. Proszę sobie wyobrazić, że nie byłem nigdy w żadnym z wydawnictw, które wydawały moje kolejne tytuły. Zresztą tylko dwa z nich mają swoją siedzibę w Warszawie. Cały kontakt odbywa się telefonicznie lub e-mailowo. To wielkie ułatwienie.

Czy jest pytanie, którego nikt Panu nie zadał, a które chciałby Pan usłyszeć i na nie odpowiedzieć?

Zawsze bałem się wszelkich pytań, nie znosiłem egzaminów ani testów, a pani prosi, żebym sam sobie stawiał pytania? To nieludzkie. Może mógłbym podywagować, dlaczego warto czytać książki i dlaczego ludzie czytają coraz mniej. Dla mnie to czysta przyjemność, zostawiająca zawsze coś ciekawego w rozumie. Z drugiej strony, może i ludzie mniej czytają, ale na pewno więcej słuchają audiobooków. Kiedyś nie było książek drukowanych, nie mówiąc już o mówionych, a ludzkość przetrwała i ma się całkiem nieźle. Książki wrócą do łask, bo zrodziły się z potrzeby. A w jakiej formie wrócą? O to nawet sam siebie nie będę pytał. Pożyjemy, zobaczymy. Mogłaby mnie pani też zapytać, dlaczego jeszcze nie powstał film w oparciu o którąś z moich powieści, bo wielokrotnie już słyszałem, że to prawie gotowe scenariusze. Chętnie odpowiem: Nie wiem, ale jestem otwarty na propozycje.

Dziękując za rozmowę, życzę kolejnych sukcesów, i tych na rynku książki, i tych w branży filmowej. Oby naszym rodakom, dzięki Pana powieściom, Radom nie kojarzył się tylko z zupkami chińskimi lub, jak ostatnio, z widmem portu lotniczego.

Jerzy Aleksander Wlazło – dziennikarz i pisarz. Absolwent IV Liceum Ogólnokształcącego im. T. Chałubińskiego oraz komunikacji społecznej i zarządzania integracją międzykulturową w Collegium Civitas. Przez wiele lat pracował w radomskich mediach: radomskiej redakcji Radia Kielce, „Dzienniku Radomskim", kierował „Echem Dnia". Równocześnie współpracował z Radiem Rekord i TV Dami. Od kilkunastu lat mieszka w Warszawie, gdzie pracował w dziennikach „Życie Warszawy" i „Polska The Times". Dopiero po zrezygnowaniu z pracy w mediach zainteresował wydawców swoją twórczością prozatorską. Od tamtej pory na rynku ukazały się: *Kot Syjonu* (2011), *Na wczoraj* (2013), *Pęknięte miasto. Biesłan* (2014) oraz *Kondukt umarłych* (2014).

Teoria wiersza bolskiego [dopuk]

wieczny chłopiec w ciemnych okularach goni pociąg
jego życie się zaczyna tam gdzie kończy koło
bo przecież żyć będziemy szybko w celuloidzie
wśród kieliszków zapalonych chyba nie dla żartu
dopóki barman trzyma w górze śnieżnobiałą szmatę
i blat jest wciąż wilgotny śliski niby peron

wieczny chłopiec sfałszowany jak każda legenda
opowiadana w ciemnej sali przyduszonym szeptem
dopókimyżyjemy nim nam rzucą ręcznik i zszyją łuki brwiowe
po ostatnim ciosie a chłopcy się oderwą od piersi czy udek
koktajli mołotowa pitych duszkiem w bramach
tuż przed pierwszą przechadzką na ten *five o'clock*

wieczny chłopiec rudy kronos czy antonim
nie opoka ani bestia nie skarlały książę
z różą w zębach pełznący *przez cały mokotów*
vis a vis na tygrysa na jeźdźca by wyliczać smętnie
imiona zapadniętych w studzienki ściekowe
pod trawy oślich łączek upasłe na kościach

wieczny chłopiec w ciemnych okularach gubi diament
wiersz się łamie rytm ucieka prószy popiół
w cztery oczy iskiereczka jeszcze mruga
na śmietniku zagrzebana w stare łachy
a kto z nami ten nie z nami nie wypije nie pobiegnie
nie ma dokąd już foreście nie ma po co

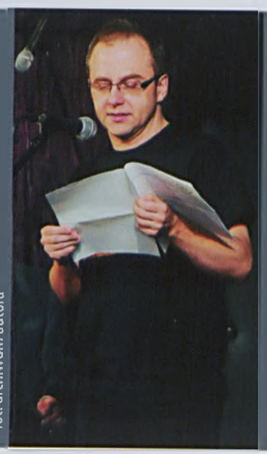

fot. archiwum autora

Paweł Podlipniak

Radomianin z urodzenia (1968), z wykształcenia bizantynista, z profesji nauczyciel j. angielskiego i dziennikarz. Redaktor periodyku netowego/portalu Salon Literacki. Autor tomików: *Aubade triste* (MBP /ITE Radom 2010, *Karmageddon* (Salon Literacki, Warszawa 2012), *Madafakafares* (GSW BWA Olkusz 2014). Laureat ponad 90 najważniejszych ogólnopolskich konkursów poetyckich w tym: OKP im. Michała Kajki, OKP im. Kazimierza Ratonia, OKP. im. Wojciecha Bąka „Struna Orficka", OKP im. Zbigniewa Herberta, OKP „O Laur Czerwonej Róży", OKP im. Władysława Broniewskiego, OKP im. Krzysztofa K. Baczyńskiego.

Gaude mater

nie pytaj mnie za co jestem gotów umrzeć
spytaj raczej za co jestem gotów żyć
bo przecież są dwie ciemności
a każda ważniejsza i głośniejsza od siebie samej

mieszkanie w ciemnym ogniu ma swoje zalety
bo mogę stanąć obok i nie bywać z wami
na samotnym swoim w przycichłym pokoju
w granicach upadłego miasta gdzieś hen na mazowszu

od kiedy odciąłem kablówkę wymieniłem okna
rozróżniam coraz więcej odmian tego mroku
który spowija *matczyznę* tak jak dym pasiekę
tuż przed rabunkiem uli nim odejdą pszczoły

nie pytaj mnie bo odpowiedź może cię obrazić

Prolog do Ewangelii wg Ślepego Tomasza

spenetruję cię językiem.
tylko to zostało, odkąd straciłem wzrok i słuch, i dotyk.
mam jeszcze resztki smaku i niezbędne słowa,
jednak nie wyjdą poza moje wnętrze,
więc będę mówił ciszej, wyłącznie do siebie
i taką opisywał, jakiej niedowidzę.

bo to jedyna prawda, skoro łatwo zmylić
oczy, a nawet rozum taniutkim złudzeniem,
kiedy brakuje palców, które można włożyć w otwartą ranę,
a ja w tobie byłem, nie raz jeden, nie drugi, i pamiętam wszystko.
to czego nie pamiętam – zmyślę i dopowiem.

teraz cię spenetruję, teraz cię obrócę
bezwzględnie i lubieżnie na właściwą stronę
skóry, na skraju mokrych snów, a bez nich jesień
z niczego nie opadnie i nie będzie naga przed pustką zimy
– tam trop pozostawię na chrupkim śniegu (ślepy zając bielak).

niedowidzę cię, niedokocham i niedoopiszę.
coś trzyma mnie za język, każe krążyć w cieple.

Ludzie o małej duszy

„Bóg mordu" w reżyserii Krzysztofa Babickiego „Niebezpieczne związki" w reżyserii Michała Siegoczyńskiego

Krystyna Kasińska

Nietypowo rozpoczęto sezon 2015/2016 w radomskim teatrze. Dwie premiery, dzień po dniu, oparte na tekstach autorów, których dzielą wprawdzie trzy stulecia, ale łączy próba odpowiedzi na jedno pytanie: co naprawdę siedzi w ludzkiej duszy?

W piątek (11 września) zobaczyliśmy „Boga mordu" autorstwa Yasminy Rezy, współczesnej francuskiej dramatopisarki i socjolożki. Reza pokazuje w swych utworach ludzi podlegających emocjom, które (w skomplikowanych relacjach między uczestnikami pozornie zwykłych rozmów) ujawniają się poprzez słowa. Radomski spektakl reżyserował Krzysztof Babicki.

Oto w domu Véronique i Michela Houillié (Izabela Brejtkop, Marek Braun) zjawiają się Annette i Alain Reille (Joanna Jędrejek, Jarosław Rabenda). Ich spotkanie wymuszone jest koniecznością załagodzenia sytuacji po bójce ich synów, w której Frederick, syn państwa Reille, walnął kijem bejsbolowym Daniela Houillié i wybił mu dwa zęby. Na pierwszy rzut oka widać, że porozumienie będzie trudne, bo obie pary sporo dzieli. Stają jednak naprzeciw siebie. Z jednej strony małżeństwo Houillié – nieznoszący zamożnych osób właściciel hurtowni i jego żona z artystycznymi aspiracjami zajmująca się, najogólniej ujmując, walką o sprawiedliwość w świecie. Z drugiej – Reille'owie, czyli wzięty adwokat z koncernu farmaceutycznego z żoną prowadzącą dom i wychowującą dzieci. Charakterystyki postaci dopełnia scenografia i kostiumy (Zofia de Ines).

W nowobogackim salonie króluje Véronique Houllié (ciuchy przywołują styl bohemy: burza dredów na głowie, kolorowe szatki, fantazyjne szpilki) i jej mąż w zwykłym podkoszulku, skrzętnie przysłoniętym przez żonę fantazyjną marynarką. Ich goście są wymuskani, jak z żurnala. Alain w eleganckim ciemnym garniturze (biała koszula, czarna teczka, w ręce komórka, z którą się nie rozstaje). Annette, wystrojona jak stateczna dama (staranna fryzura, czerwona elegancka suknia, takież szpilki i torebka, na nosie rogowe okulary dodające dostojeństwa).

I tak dostojnie, lekko napuszonym językiem rozpoczynają się negocjacje mające załagodzić konflikt wywołany przez niesforne nastolatki. Pary, krańcowo różne, początkowo trzymają na wodzy i emocje, i wyczuwalną od pierwszej chwili wzajemną niechęć. Czas mija, ale nikt nie chce ustąpić. Pozory pękają jak mydlana bańka, gdy na stole pojawia się alkohol. Okazuje się, że obie panie lubią sobie wypić (ze wszystkimi konsekwencjami) i znakomicie znają nieparlamentarne zwroty. Panowie też nie są lepsi. Mecenas ma całą sytuację w nosie, liczy się tylko praca i jego zainteresowanie przykuwa dopiero narastająca awantura. Bawi się przy tym świetnie. Hurtownik błyskawicznie traci kindersztubę. Okazuje się, że bójkę wywołała obelga „kapuś", podsyciła kolejna – „pedał". I właściwie satysfakcję poczuje jedynie mecenas Reille, kiedy zwycięzcą w potyczce okaże się jego jedyny idol – bóg mordu.

Krzysztof Babicki w wywiadzie dla TV Dami powiedział, że nasze dzieci przejmują zło od rodziców. Nawet wówczas, gdy ci starannie kamuflują jego istnienie. Spektakl może zatem stać się rodzajem seansu psychoterapeutycznego, skoro daje okazję do zastanowienia się, co kryją nasze dusze.

To bardzo dobrze zrobione przedstawienie. Ma świetne tempo, nastrój (od śmiechu po grozę) zmienia się nieustannie, zaś jego największym atutem jest gra aktorów. Wszyscy prezentują duże umiejętności warsztatowe, zdolność do pokazania zmieniających się jak w kalejdoskopie nastrojów i emocji, często balansujących na granicy, którą tak łatwo przekroczyć. Izabela Brejtkop (Veronique) znakomicie gra i matkę lwicę, i atrakcyjną żonę, i zwariowaną społeczniczkę, i niedocenianą (nie znaczy skromną) artystkę. Joanna Jędrejek (Annette), zakompleksiona i znerwicowana kura domowa, po odpowiedniej dawce alkoholu przeistacza się w awanturnicę bez hamulców, by po ataku lekkiego szału uświadomić sobie, że damie pewne zachowania nie uchodzą. Trzeźwieje więc w szybkim tempie, nakłada okulary, wygładza ciuchy i znów wydaje się kobietą z klasą. Marek Braun (hurtownik Houillié) okazuje się cholerykiem, który jednak próbuje znaleźć jakiś sposób na wyciszenie narastającego konfliktu, co wychodzi różnie. Tym bardziej że miota się między pijaną Annette, żoną awanturnicą, mamusią, która ciągle czegoś się domaga przez telefon, i irytującym przeciwnikiem. Bo Jarosław Rabenda w roli adwokata Reille jest naprawdę nieznośny (to rola jak z najlepszych lat), choć aktor ani razu nie przeciąga struny. Ani kiedy ostentacyjnie nie ukrywa braku zainteresowania wybrykami dziecka, ani kiedy wyprowadza go z równowagi zalana w pestkę małżonka, ani wówczas, gdy świetnie się bawi jako widz tej skomplikowanej sytuacji towarzyskiej, co z pewnością ułatwia mu wlewany w siebie rum. Ale nawet na rauszu potrafi szybko powściągnąć ochotę do bitki z gospodarzem.

W sobotę (12 września) szłam do teatru pełna obaw po zapowiedzi, że przedstawienie „Niebezpieczne związki" w reżyserii Michała Siegoczyńskiego jest jedynie inspirowane powieścią o tym samym tytule, autorstwa Pierre'a Choderlosa de Laclosa. Przypomnę zatem: utworowi (w formie listów bohaterów), który ukazał się niemal tuż przed wybuchem rewolucji francuskiej, towarzyszyła opinia skandalu obyczajowego (z miejsca okrzyknięto powieść niemoralną). Główna bohaterka, owdowiała markiza de Merteuil, kocha być kochaną, więc kolekcjonuje licznych

fot. archiwum teatru

„Bóg mordu" (reż. K. Babicki) – Jarosław Rabenda jako Alain Reille

kochanków. Nie znosi jednak porażek, zwłaszcza kiedy mężczyzna jest obojętny na jej seksualne awanse albo ją samowolnie porzuca. Wówczas, z zemsty, jest gotowa na wszystko. A właśnie spotkało ją pasmo klęsk, zaplątuje więc sieć intryg, by zwyciężyć. I to się jej poniekąd udaje, choć bezwzględnie niszczy życie kilku osób. Ostatecznie zostaje na placu boju sama, w dodatku oszpecona przez chorobę. Po szczegóły odsyłam (tak zrobili aktorzy) do Wikipedii, uprzedzając jednak, że streszczenie powieści jest powierzchowne i niekompletne. A znajomość powieści jest niezbędna, aby zrozumieć, o co w tym przedstawieniu naprawdę chodzi.

Michał Siegoczyński wyprowadził „z materiału" zaskakujący spektakl. Uwspółcześnił akcję, przenosząc ją do Hollywood, do wytwórni filmów pornograficznych, w środowisko gwiazd tej „kinematografii". Główna bohaterka (Katarzyna Dorosińska) to bizneswoman, która marzy o wyprodukowaniu filmu porno, ale ma być to film o prawdziwej miłości we wszystkich jej odcieniach. XVIII-wieczna powieść wydaje się jej wymarzoną kanwą scenariusza, ona sama ma mentalność hrabiny de Merteuil, a nawet ksywkę „Markiza" (uwielbia ciasteczka o tej nazwie), więc praca nad filmem, który ma jej przynieść sławę, nagrody i oczywiście kasę, przypomina atmosferę Paryża sprzed rewolucji francuskiej.

Wszystkie postaci noszą nazwiska bohaterów z powieści. Jest Cecylia, debiutantka w filmach porno (Magdalena Placek), sprowadzana na złą drogę i przez mężczyzn, i przez Markizę (zabawna scena „korporacyjnej" uroczystości z okazji debiutu). Nie może braknąć de Valmonta (Konrad Korkosiński), który z nudów daje się uwodzić Markizie, ale zakochuje w pobożnej madame de Tourvel (Maria Gudejko), oraz kawalera Danceny (Wojciech Wachuda), który wprawdzie kocha Cecylię, ale ostatecznie daje się zdeprawować Markizie. Danceny'ego gra mocno wyliniała gwiazda filmów porno, która usiłuje odzyskać straconą pozycję zawodową.

Wartka akcja spektaklu rozgrywa się na trzech płaszczyznach: za ścianą z pleksi, przed widownią, gdzie aktorzy nie są postaciami z filmu i opowiadają o swoim prywatnym życiu, oraz na ekranie w głębi sceny, na którym prezentowane są kolejne kadry filmu nakręcanego przez Operatora Kamery (Jakub Kryształ). Jest pomysłowa choreografia, czasem odrobinę dziwaczne kostiumy, udana charakteryzacja oraz dobra muzyka (po raz kolejny, po „Cabarecie", możemy posłuchać pięknego głosu Magdaleny Placek). Najbardziej mnie urzekła, jeśli tak można określić stosunek do „suki" (to cytat!), postać Markizy, którą wykreowała Katarzyna Dorosińska, a do gustu przypadło zawrotne tempo akcji, przenoszącej się dynamicznie ze świata fikcji w świat realny. Mile zaskoczyła dojrzałość sceniczna młodego zespołu. Oba światy są malowane grubą kreską. Bywa więc i śmiesznie, i strasznie. Niestety, ni w ząb nie wyznaję się na porno-kinematografii, zatem nie umiem ocenić, jak film Markizy rysuje się „na tle". Na pewno w przedstawieniu nie oszczędza się żadnych tematów, żadnych świętości. Mamy miłość i nienawiść, krew, łzy, narkotyki, zapłodnienie in vitro, wiarę i egzorcyzmy, wulgaryzmy oraz niepoprawną polszczyznę. No i seks, dużo seksu (bez golizny, ale przekonująco). Ale mamy także samotność bohaterów. I zaskakujące zakończenie. Pomysłowość twórców przekracza moje umiejętności pisarskie, po prostu trzeba to zobaczyć.

Naprawdę jestem ciekawa, jak inscenizacja M. Siegoczyńskiego zostanie przyjęta. Już wiem, że wzbudza skrajne opinie (młodzi – także duchem – są za, nieco starsi mają tzw. uczucia mieszane, a są i tacy, którzy przedstawienie potępili w czambuł), a spodziewam się nawet lekkiej zadymy.

Żałuję jednego – pod natłokiem różnorodnych efektów, gagów rozmyła się opinia reżysera, który – we wspomnianej już TV Dami – tłumaczył, dlaczego sięgnął po uwspółcześnienie akurat tej powieści. Pokazano w niej znudzony świat francuskich arystokratów, którzy wymyślają zabawy niosące za sobą czyste zło, choć za oknami pałaców czai się realny okrutny przewrót, który zmieni ustrój państwa. Dziś powinniśmy stawiać inne pytania. Co w naszym świecie naprawdę kryje mroczna strona duszy? Co się dzieje, kiedy przestaje bawić seks, narkotyki, pieniądze, sława czy rządzenie rozumiane jako układanie świata coraz powolniejszego władzy (w korporacjach, małych i większych firmach, w polityce?). Dlaczego poszukiwanie prawdziwej miłości, która mogłaby stać się antidotum na brudy świata, coraz częściej kojarzy się z klęską?

I spektakl stawia te pytania, choć... nie jestem pewna, czy bez solidnej znajomości literatury, bez wszechstronnej wiedzy o popkulturze (inscenizacja roi się od cytatów) odpowiedź na nie jest możliwa. Odczytywanie tego spektaklu „na wprost" nic nie da, zobaczymy tylko wypaczony obraz świata. Dlatego na koniec przypomnę wypowiedź Jana Englerta, którą usłyszałam przy okazji licznych imprez z okazji 250-lecia narodowego teatru w Polsce: „Teatr nie ma pouczać, ma wzbudzać emocje i zmuszać do myślenia".

Krystyna Kasińska

fot. archiwum teatru

„Niebezpieczne związki" (reż. M. Siegoczyński) – scena zbiorowa

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu.
Yasmina Reza „Bóg mordu" w przekładzie Barbary Grzegorzewskiej. Reżyseria: Krzysztof Babicki. Scenografia i kostiumy: Zofia de Ines. Premiera: 11 września 2015 r. na Scenie Kotłownia.
„Niebezpieczne związki", inspirowane powieścią Pierre'a Choderlosa de Laclosa. Scenariusz i reżyseria: Michał Siegoczyński. Dramaturgia: Magda Kupryjanowicz. Scenografia i kostiumy: Dorota Nawrot. Choreografia: Helena Ganjalyan. Opracowanie muzyczne: Michał Siegoczyński. Światła: Katarzyna Kornelia Kowalczyk. Premiera 12 września 2015 r. na Scenie Kameralnej.

Prócz tego... prócz tego seans trwa!

Grzegorz Sasin

Przeszłość mam za sobą, przyszłość przede mną" – mówi Shirley, bohaterka filmu „Shirley – wizje rzeczywistości" Gustawa Deutscha. Ale jest to przyszłość i przeszłość cokolwiek nieruchoma, jak nieruchoma jest twarz Shirley (Stephanie Cumming), bo nieruchome są obrazy Edwarda Hoppera, które zainspirowały reżysera Deutscha i jego operatora Jacka Palacza. Klaustrofobia i samotność. Wyobcowane kadry samotności. Chociaż ruchome, to jednak bardziej przerażające, wywołujące strach i poczucie mdłości – Hopper jest spokojniejszy, wycofany, a Shirley jest tylko znakiem epoki. Epoki nadziei, która przekształciła się w zagładę, chociaż Shirley jest poza rzeczywistością europejską. Jej rzeczywistość to czas Ameryki. Strumień wewnętrzny, który płynie obok zewnętrznego, gdzie coś się dzieje, wydarza. Shirley, krajobrazy za oknem i radio jako przekaźnik fabuły historii, która trwa i trwa, ale jest tylko złudzeniem, bo to Shirley trwa, a zdarzenia, które ją określają, przepływają jak rzeka Hudson, jak Sekwana, jak wypielęgnowane trawniki i dworcowe poczekalnie: są przeszłością. Shirley zaś jest przyszłością – i teraźniejszością. Ona jest, wydarzenia są tylko znakami: „Człowiek z blizną", Group Theatre, Kazan, MacCarthy, Living Theatre, Clifford Odets, „Ślepy zaułek"... Ameryka. Te premiery, te filmy, te nazwiska wskazują wyłącznie na czas i okolicę, w której żyje Shirley. Są niestabilne, wobec stabilności i bezkresu egzystencji Shirley, egzystencji wszystkich, którzy żyją, którzy nadejdą po Shirley, którzy mają przyszłość, bo zdarzenia, wybuchy geniuszu, skandale przemijają, ale życie trwa. Bo to, co bohaterka filmu mówi o przeszłości i przyszłości to definicja życia, czasu: wszystko było i jest, i będzie.

Jak będzie Federico Fellini jako Fellini i jako emanacja Rzymu i kina w „Wielkim pięknie" Paola Sorrentino. Bo Rzym znaczy życie. Życie, z którego Fellini kpił, a które Sorrentino akceptuje, ukazując Rzym wieczny, czyli wcielenie epikureizmu, szczególnie w wydaniu hedonistycznym. Jedno życie, drugie życie, cezarowie i papieże, lumpy i artyści, przekupki i robotnicy przemijają, ale Rzym się trzyma – w gwarze ulicy, w budowlach, w ludziach i specyficznej atmosferze miasta, które nie przemija. Wciąż włóczą się po nim Rzymianie, tacy jak bohater filmu (Toni Servillo), smakujący powietrze przyjemności. Bohater, zależnie od okoliczności, jest i Petroniuszem, i Trymalchionem. Renesansowym kardynałem i Aretinem – Rzymianinem z wyboru, jak Fellini. Już zaliczył „Słodkie życie", przeżył kryzys wieku średniego w „Osiem i pół" – i wciąż jest w „Rzymie", przywołując „Amarcord", jakby na kontemplacyjnej emeryturze, na wylocie; nic już nie musi, więc przechadza się po Rzymie, po kobietach, po życiu, chłonąc jego barwy, klimaty. Przechadza się po przyjemnościach, bo żyć i umierać trzeba w pewnej atmosferze, z pewną ironią, z dystansem. Gdy przechadzka się skończy, podejmie ją inny Rzymianin/Rzymianka po roku, dwóch, pięćdziesięciu, stu... Rzym jako istota, architektura ożywiona tchnieniem żywych oraz błąkających się po mieście cieni umarłych.

Orlando też się błąka. Po Moskwie, po Londynie, po czasie. W powieści Virginii Woolf i w filmie Sally Potter. Orlando – ON/ONA (Tilda Swinton) szuka życia, szuka przyjemności i pewności: kobietą jestem czy mężczyzną? Orlando jest zwierciadłem dwoistości ludzkiej natury. Jego opowieść jest opowieścią o psychologii ciała, naturze czasu i płynności granic między rzeczywistością a wyobraźnią. Realność równa się wyobrażenie. Realność równa się złudzenie, gdy nadchodzi sen lub déjà vu. Właśnie ten stan ponad obłokami, stan déjà vu starała się opisać Virginia Woolf, ale ta osobista wędrówka duszy, to wyobrażenie siebie, że Virginia raz jest kobietą, a raz mężczyzną, nie powiodła się, bo Virginia jest zawsze Virginią, panią Dalloway: ani kobietą, ani mężczyzną. Istotą wykreowaną, nierzeczywistą, bo takich kobiet i takich mężczyzn nie ma. Nie ma w życiu, nie ma w literaturze, nie ma w kinie. W filmie wygląda to inaczej. Film pozwala przeżyć 300 lat w mgnieniu oka, a przynajmniej w kilkadziesiąt minut. I potrafi uwiarygodnić niewiarygodne: zatrzeć różnicę między płciami. Stworzyć androgyna, jak ma to miejsce w filmowej adaptacji. Sally Potter potraktowała powieść jako taką story, luźny pomysł na scenariusz filmowy, aby rozwinąć podstawowy zamysł Woolf, która chciała zanotować przepływ zmiennych obrazów życia uosobionych w postaci Orlanda, który wędrując przez wieki, wybiera egzystencję raz kobiety, raz mężczyzny. I film płynie, a wraz z nim Orlando/Orlanda, zaś widz nie wie (mimo szat), czy akurat obcuje z nią czy z nim. A to za sprawą Tildy Swinton, która sama eksponuje się niczym osoba androgyniczna. Stąd też czas w filmie jest nieuchwytny, stroje nie mają znaczenia, bo czas jest jak płeć – zmienny i zamienny, gdyż jest cielesnością, co jaskrawie pokazuje w swoim filmie Sally Potter, a co nie udało się Virginii Woolf w powieści. Przecież czas cielesny (cielesność w ogóle), czas linearny to nie jest genre angielskiej pisarki. Jej genre to Klarysa Dalloway, przypływ i odpływ myśli, uczuć, drgań psychiki jak w *Falach*, gdzie czas się burzy, kluczy, nawraca i wybiega naprzód. Gdzie czas nie nuży, lecz czaruje kołowrotem wrażeń, choćby złudnych, w kinowej adaptacji Sally Potter.

fot. internet

Virginia Woolf

Klarysa może też znaleźć się na nowojorskiej ulicy w końcu XX w. i przybrać kształty Meryl Streep, która wędruje po tej stolicy świata w filmie „Godziny" Stephena Daldry'ego, będącym adaptacją powieści Michaela Cunninghama. Amerykański pisarz chciał niejako odzyskać Virginię Woolf, jej czas, bo przecież ani ona, ani tamta epoka nie przeminęły. Kobiety wszak wciąż płyną w nurcie swej cielesności, dręczone niepewnością rzeczywistości w Nowym Yorku, Los Angeles, angielskiej wiosce z niezbyt odległej przeszłości. Skoro była Virginia Woolf, to jest też Klarysa, jest też Laura Brown. Daty nie mają aż takiego znaczenia: 1923, 2000, 1949, 1941. Psychika, dusza, umysł – nie giną. Falują u trzech różnych kobiet, choćby jedna z nich istniała rzeczywiście (czy na pewno?), a dwie były konstrukcjami literackimi. Przecież Virginia Woolf mogłaby przeżyć i napisać tę powieść

albo nakręcić ten film. Cunningham próbuje wcielić się w psychikę, zmysł narracyjny angielskiej pisarki, zwłaszcza w strukturę kompozycyjną *Pani Dalloway*, co mu się prawie udaje w epizodach nowojorskich, gdy czytelnik ma wrażenie, że właśnie czyta powieść Woolf! Ale czytelnik nie ma wrażenia, że te trzy kobiety są jedną osobą. Natomiast widz w kinie ma takie wrażenie, chociaż Virginia to Nicole Kidman, Laura to Julianne Moore, zaś Klarysa to Meryl Streep. I nie dlatego, że wszystkie panie są chude i nadmiernie wyraziste – tylko Kidman jest rzeczywiście ponad obłokami, eteryczna, bo nierozpoznawalna dzięki charakteryzacji i niejakiej rozmazalności (?) gry aktorskiej; one są tą samą kobietą poprzez stan psychiczny inaczej cieniowany przez każdą aktorkę. Takie cieniowanie czasu, w jakim żyją. Wycofana Kidman, czyli Angielka w depresji własnej i swej epoki, Moore próbująca sprostać wzorcom Hollywoodu i epoki dobrobytu, zaczynających się lat 50., Streep jako pozornie prężna energia nowego wieku, a wszystkie jednak takie same, czyli samotne, w egzystencji absurdalnej, bo tylko filmowej? Tylko literackiej? A dlaczego nie, skoro wszystkie udają, wszystkie pozorują. Może tylko Woolf zdaje sobie sprawę, że ona w życiu i ona w literaturze, w tworzeniu, to dwie różne osoby. W życiu jest depresja, rozdygotane nerwy, w pisaniu jest jasność, klarowność Klarysy Dalloway – a czas jest niedostrzegalny. Nie ma wymiaru kucharki, siostry, jej dzieci, męża, gdakających kur. Jest niczym prąd zmienny, kobieta wędruje w kobietę, przemierza bliskie, a jednak odległe epoki, bo pewna mentalność, powiedzmy depresyjna, i pewne marzenia mogą być takie same, gdy odrzucamy naszą okolicę i wydaje się nam, że czas stoi, czyli go nie ma – płynie tylko w głowie, więc zawsze może zniknąć w głębinach rzeki, gdy myśl ustaje. Bo samobójstwo jest przerwaniem czasu... Cunningham pisze, że Laura myśli, iż „cudownie nic już nie znaczyć", czyli nie być, ale Julianne Moore tego nie mówi, to widać na jej twarzy, w jej oczach – tę udrękę życia... Udrękę Virginii, Klarysy, Laury, gdyż czas nie istnieje jako czas, ale jako linia, naczynia połączone ludzkich egzystencji, linie, które się łączą w czasie i przestrzeni. W czasie i przestrzeni trzech różnych, ale tych samych kobiet. Czas w tym filmie jest holistyczny. Akcja równie dobrze mogłaby się rozgrywać w bardziej rozległej przestrzeni – powiedzmy przed naszą erą, w naszej erze i science fiction, a i tak byłby to ten sam czas, czas jednoczesny. Nie wiem, czy Daldry jest kinomaniakiem à la Kubrick, który widział wszystkie filmy, ale osiągnął w swym filmie ten sam efekt organizacji struktury czasowej co Alejandro Gonzales Iñarritu w filmie „Babel" czy Guillermo Arriaga w „Granicach miłości" – odległości w kilometrach i strefach czasowych są nieważne, bo perspektywa się nie zmienia, perspektywa pamięci. Chociaż, jak stwierdziła Gertruda Stein, „ Wszystko co pamiętamy jest powtórzeniem, lecz egzystencja istoty ludzkiej, to znaczy bycie, słuchanie i słyszenie nigdy nie jest powtórzeniem", tj. fala życia zawsze jest taka sama, ale różnorodna w wyrazie, inna w psychicznych inkrustacjach. Bo właściwie, jak mówi wampirzyca o wyglądzie Tildy Swinton w „Tylko kochankowie przeżyją" Jima Jarmuscha, nie ma się co spieszyć, nawet wampirom. Lepiej zacząć czytać (albo film oglądać), bo tylko z książek można się czegoś dowiedzieć, zwłaszcza gdy się mieszka w Detroit, mieście upadłym wraz z przemysłem, mieście dziwnym, w którym czas kapitału zmienił się w czas artystów i wampirów-intelektualistów, bo chyba czas jest tym, co akurat widzimy, np. filmem Jima Jarmuscha, ale jest to tylko czas kinowy, czas seansu – i być może tak samo mój, jak i widza, który ogląda teraz ten sam film, np. w Bydgoszczy...

Grzegorz Sasin

Przepis na muzyczny frument

Z Patrykiem Walczakiem, liderem zespołu Frument Project, rozmawia Krzysztof Materczyk

fot. Jakub Nowotyński

Frument Project istnieje już siedem lat. Przez ten czas z mało znanej formacji staliście się grupą rozpoznawalną na polskiej scenie folkowej. Zostaliście kilka razy nagrodzeni i wyróżnieni na festiwalach krajowych. Teraz doceniono Was także na rodzimym gruncie – otrzymaliście Radomską Nagrodą Kulturalną za 2014 r. Czy to było dla Was zaskoczenie?

Już sama nominacja była dla nas sporym zaskoczeniem. Obok nas nominowane były same znakomite postacie, które działają dłużej niż siedem lat. [Wśród nominowanych do nagrody znaleźli się również: Marek Mieńkowski – festiwale Parkowa Fest, Parkowa Classic, Parkowa Jazz, Przemysław Bednarczyk – rekonstrukcje i widowiska historyczne, Andrzej Markiewicz – 43. Salon Zimowy, Ogólnopolskie Triennale Sztuki i Dariusz Krajewski – orkiestra Grandioso – przyp. aut.]. Cieszymy się ogromnie. Nagroda dała nam kopa do działania, a statuetka pięknie zdobi moje biurko.

Dlaczego w projekcie Frumentu dominują melodie ludowe okolic Radomia i z terenu Mazowsza?

Frument dość długo poszukiwał swojego muzycznego wyrazu. Graliśmy wiele gatunków muzycznych, od muzyki filmowej przez pop, rock, muzykę latino, a nawet piosenki okresu międzywojennego. W pewnym momencie zrozumieliśmy, że aby być autentycznym, należy inspirować się tym, co występuje na własnym podwórku. Zaczęliśmy grzebać w nagraniach muzyków ziemi radomskiej. Muzycy, którzy nas inspirowali, to m.in.: Olek Krupa, którego nagranie mazura wykorzystaliśmy na płycie, kapela Braci Tarnowskich czy też muzyka słynnych Jana i Piotra Gaców oraz skrzypka Józefa Lamenta z Siekluk. W połączeniu z poprzednimi doświadczeniami okazało się to strzałem w dziesiątkę, aczkolwiek łatwe nie było...

Projekt Frumentu nie do końca mieści się w kategorii popularnej muzyki folk. Wpraw-

dzie zespół czerpie siłę z ludowej tradycji muzycznej, lecz wzbogaca ją również ciekawymi aranżacjami i klasycznym kunsztem wykonawczym. To bardzo oryginalny i zarazem ożywczy „muzyczny frument". W dużej mierze jesteś odpowiedzialny za repertuar grupy. Studiowałeś kompozycję w Instytucie Jazzu i Muzyki Estradowej przy Akademii Muzycznej w Katowicach. Czy zdobyta wiedza pozwoliła Ci inaczej spojrzeć na muzykę tradycyjną, odnaleźć w niej artystyczne konteksty i odkryć muzyczną drogę, którą podążasz?

Studia nauczyły mnie analizy dzieł muzycznych i dostrzegania w nich różnych ciekawych elementów, których często nie słychać od razu. Nauczyły mnie także, jak te elementy podkreślić i nadać im świeższego blasku. To właśnie staram się czynić z melodiami ludowymi we Frumencie. Proces wygląda zazwyczaj tak, że przychodzę z jakimś pomysłem na próbę (najczęściej zapisanym w nutach), przedstawiam go kolegom i pochylamy się nad nim. Gramy na wszelkie możliwe sposoby. Odejmujemy bądź dodajemy dźwięki, ubieramy w formę. Taki proces potrafi trwać miesiącami. Czasem zmieniamy utwór nawet po tym, jak zagraliśmy go już na koncercie. Gdy poczujemy, że utwór działa, zostawiamy go. Bywa też, że siedzimy nad utworem i niestety, ale czegoś brakuje, coś jest nie tak. Zdarza się, że odkładamy go na półkę.

Frument Project to kolektyw bezkonfliktowy? Jak współpracuje Ci się z kolegami z zespołu?

Oczywiście, że konfliktowy. Każdy z nas jest inny i uparty, więc czasem dochodzi do utarczek, nawet między braćmi. Jacek, jedyny nieradomianin, jest troszkę outsiderem, wiecznie w drodze, ale niezwykle poukładanym w swym graniu. Perfekcjonista. Łukasz jest łobuzem w grze. Lubi rock and rolla i minimalizm w graniu. Kamil zaś to silny charakter. Uwielbia transowe granie i nie boi się eksperymentować. Znamy się już kupę lat i mamy niepisany kodeks zasad, którego się trzymamy. Uwielbiamy ze sobą spędzać czas, czy to na próbach, koncertach, czy ot tak...

Jesteście coraz bliżsi realizacji Waszego marzenia – wydania debiutanckiej płyty. Niespełna rok temu na portalu polakpotrafi.pl zakończyliście pomysłową akcję związaną ze zbieraniem funduszy na ten cel. Czy efekt spełnił Wasze oczekiwania? Czy pozwoliło to pokryć wszystkie wydatki związane z projektem?

Efekt był dla nas kolejnym zaskoczeniem. Wsparło nas ponad 130 osób, a cała akcja była entuzjastycznie przyjęta. Ludzie zachęcali nas do działania i jak widać wspierali nie tylko słowem, ale i gestem. Mieliśmy pewne obawy, że zostanie to źle odebrane, ale na całe szczęście udało się. Zebraliśmy kwotę, która pozwoliła nam nagrać płytę.

Czy do nagrania płyty zaprosiliście innych muzyków?

Płytę zrealizowaliśmy w dość nietypowy sposób, gdyż nie nagrywaliśmy jej w tradycyjnym studiu. Wynajęliśmy domek na odludziu w miejscowości Gajki i zaadaptowaliśmy go na studio. Podjął się tego Krzysiek Domański, na co dzień współpracujący m.in. z Anią Dąbrowską, Marceliną czy Kortezem. Tam przez kilka dni w skupieniu rejestrowaliśmy ślady na tak zwaną setkę. Drugim etapem było dogranie zaproszonych gości. Miało to miejsce w Warszawie w studiu JazzBoy. Swych dźwięków użyczyli: Daria Pełeńska i Ewa Żołądek (Dobroto), Jolanta Kossakowska (Mosaic), Edyta Glińska (Nowy Stwór Mazowiecki), Krzysztof Guzewicz (Dobroto) i Mateusz Strzelecki. Swoje ślady ze Słowacji dosłał Oskar Torok grający na co dzień m.in. w kwintecie Wojtka Mazolewskiego.

Gdzie odbyło się miksowanie i mastering? Czym sugerowaliście się przy wyborze studia nagraniowego? Jego renomą? Ktoś je Wam polecił?

Gotowe ślady trafiły do AS One Studio znanego ze współpracy z Kapelą ze Wsi Warszawa czy też Bednarkiem. Polecił je nam Piotr Gliński, bębniarz Kapeli oraz nauczyciel Kamila ze Szkoły Muzycznej. Pół roku przed nagraniem AS One miksowało nam jeden utwór na próbę. Wiedzieliśmy, że to jest to, czego oczekujemy.

Jakie kompozycje znajdą się na Waszym debiutanckim krążku? Czy będą tam również utwory premierowe?

Na krążku będą melodie znane z naszych koncertów czy występów telewizyjnych, ale także utwory, które rzadko wykonujemy na koncertach. Zaskoczeniem będą dwa utwory instrumentalno-wokalne.

Kto będzie wydawcą? Czy znana jest data premiery? Jak rozwiążecie problem promocji i dystrybucji debiutanckiej płyty?

Odpowiedzi na te pytania jeszcze nie znamy. Jesteśmy na etapie ustalania tych informacji. Mam nadzieję, że w ciągu kilku tygodni wszystko będzie jasne. Na pewno obwieścimy to na naszych stronach.

To najbliższa przyszłość. A dalsza? W którą stronę podąży Frument Project? Czy nadal zamierzacie twórczo eksperymentować z muzycznym dziedzictwem regionu? Czy może, tak jak Wasi idole – doświadczeni muzycy z Kapeli ze Wsi Warszawa – sięgniecie też do różnorodnych dźwiękowo i kulturowo korzeni world music?

Na pewno głównym nurtem będzie rodowita muzyka. Jest to potężne źródło, bardzo podatne na muzyczną ewolucję. Ciągle dostrzegamy w niej coś nowego, ciągle nas inspiruje. Aczkolwiek Frument to grupa ludzi nieobliczalnych, która nie boi się wyzwań. Lubimy poszukiwać i eksperymentować. Ciężko powiedzieć, co zabrzmi na kolejnych płytach... Jedynym naszym wyznacznikiem jest to, że musi być dobre.

Krzysztof Majerczyk

FRUMENT PROJECT

Rok założenia zespołu 2008
Miasto Radom
Kraj Polska
Rodzaj muzyki folk stylizowany, ethno-jazz

Skład zespołu:
Patryk Wałczak – akordeon
Jacek Długosz – gitary
Łukasz Rylski – bas
Kamil Rylski – instrumenty perkusyjne

Zespół ma na swym koncie liczne nagrody, m.in:
II miejsce na Mikołajkach Folkowych, Lublin 2011
II miejsce na Międzynarodowym Festiwalu Akordeonowym, Przemyśl 2011
I miejsce na Międzynarodowym Festiwalu Akordeonowym, Sanok 2014
Frument Project dotarł do półfinału 7. edycji programu Must Be the Music
Radomska Nagroda Kulturalna za rok 2014 wręczona podczas Dni Radomia w 2015 r.

http://frumentproject.com/o-zespole/
https://pl-pl.facebook.com/Frument.Project.Radom

70 lat Szkoły Plastycznej im. Jacka Malczewskiego

Jerzy Kutkowski

1 września 2015 r. w Zespole Szkół Plastycznych, w nowej siedzibie przy ul. Grzecznarowskiego 13, uroczyście obchodzono jubileusz 70-lecia działalności Szkoły Plastycznej im. Jacka Malczewskiego. Jednak dokładnie rzecz ujmując, radomska szkoła plastyczna jest starsza, gdyż do jej historii można dodać jeszcze co najmniej cztery lata.

W 1940 r. przybył do Radomia artysta malarz Wacław Dobrowolski – założyciel szkoły. Został wysiedlony przez hitlerowców z Łodzi i osiedlił się wraz z żoną Adą w Radomiu, gdzie już mieszkał jej brat Tadeusz Rogulski. Dobrowolski utrzymywał się z malowania portretów i lekcji rysunku, a że chętnych radomian było wielu, stworzył nieformalną szkołę, uczącą rysunku i malarstwa. Wśród pierwszych jego uczniów znalazł się mieszkający wówczas w Radomiu Andrzej Wajda, który w autobiografii *Kino i reszta świata* tak wspomina okres nauki u prof. Dobrowolskiego: „[...] W 1941 otworzył swoją szkołę. Nie istniała ona długo, zamknięta przez władze niemieckie. Ale nawet ten krótki okres dał mi jakieś podstawy do dalszej, samodzielnej pracy". Szkoła Wacława Dobrowolskiego działała jednak dalej, półlegalnie. Po wyzwoleniu Radomia, już w marcu 1945 r. w oknach biblioteki miejskiej Wacław Dobrowolski urządził wystawę dorobku artystycznego swoich uczniów z okresu okupacji niemieckiej. W ówczesnym „Radomskim Biuletynie Informacyjnym" tak o szkole pisano: „Niejeden z przechodniów coś o niej słyszał, wielu dopiero »zwiedzając« tę wystawę dowiaduje się, że istnieje coś podobnego w Radomiu. Idę na poszukiwanie szkoły. Kelles-Krauza 17. Jest kamienica dość okazała. I napis. Natomiast obok jest drewniany warsztat. Otwieram drzwi. Naturalnie, że tu. Modele, gipsy, ściany zawieszone płótnami, szkicami. Sztalugi i młodzi ludzie skupieni i poważni. Pracują. Jednym słowem znany zapach pracowni malarskiej. Z rozmowy z dyrektorem szkoły ob. Dobrowolskim dowiaduję się, że wystawa jest dorobkiem szkoły z okresu okupacyjnego. To już mówi samo za siebie. Konspiracja, strach, niepewność każdego dnia. I w tych warunkach kilka lat pracy. Przez cały okres okupacji, opowiada prof. Dobrowolski, szkoła moja mieściła się w tym warsztacie stolarskim. Pracowaliśmy w ciężkich warunkach, mimo to jednak uczniowie garnęli się do nauki. Wśród nich jest kilku prawdziwie zdolnych. Obecnie, gdy szkoła wyszła z ukrycia i przedstawia społeczeństwu próbki swojej pracy, wszyscy z ciekawością oglądamy jej dorobek. [...] Jest nadzieja, że szkoła ta po przetrwaniu ciężkiego okresu okupacji znajdzie teraz poparcie u kompetentnych czynników, które dopomogą do utrzymania i dalszego rozwoju tej ważnej dla życia kulturalnego miasta placówki". „Kompetentne czynniki" poparły i Wolna Szkoła Rysunku, Malarstwa i Rzeźby otrzymała duży lokal w kamienicy Glogierów przy ul. Sienkiewicza. Tam też zamieszkał Wacław Dobrowolski – dyrektor szkoły. Już w czerwcu 1946 r. otwarto wystawę prac uczniów na zakończenie roku szkolnego. Naukę zaczynało sześciu słuchaczy, ale ich liczba szybko rosła. Wielu absolwentów radomskiej szkoły studiowało później sztuki piękne, m.in. Andrzej Wajda (ASP w Krakowie), Edward Kiełtyka (ASP w Warszawie) czy Władysław Kurpiel (WSSP Wrocław).

Jubileusz 70-lecia szkoły rozpoczęto od odczytania listu z gratulacjami Andrzeja Wajdy.

fot. Jerzy Kutkowski

Stoją od lewej: Włodzimierz Orzeł, Alojzy Balcerzak i Wacław Dobrowolski – syn prof. W. Dobrowolskiego

W trakcie uroczystości syn Wacława Dobrowolskiego, także Wacław, wspólnie z Alojzym Balcerzakiem, artystą plastykiem i niegdysiejszym uczniem prof. Dobrowolskiego, odsłonili poświęconą założycielowi szkoły tablicę pamiątkową, którą zaprojektował Włodzimierz Orzeł, także artysta plastyk i absolwent radomskiej szkoły.

Kim był założyciel radomskiej szkoły Wacław Dobrowolski? Urodził się w 1890 r. w Janówce (gubernia chersońska) na Ukrainie, w rodzinie ziemiańskiej. W 1912 r. ukończył z najwyższą lokatą średnią Szkołę Sztuk Pięknych w Kijowie, otrzymując prawo do nauki rysunku i grafiki oraz wolny wstęp na studia, które podjął w Akademii Sztuk Pięknych w Sankt Petersburgu. Naukę przerwały mu działania wojenne i rewolucja październikowa. W latach 1922–24 pracował jako plastyk w Moskwie, tworzył, wystawiał. W 1924 powrócił na uczelnię i obronił dyplom artysty malarza. W 1927 wyjechał w podróż po Europie, kilka miesięcy przebywał we Włoszech. W 1928, po powrocie z europejskiej podróży, zamieszkał w Łodzi. Tam w latach 1929–39 prowadził własną Szkołę Sztuk Pięknych i Przemysłu Artystycznego im. Cypriana Norwida i zajmował się własną twórczością – często brał udział w wystawach i zdobywał nagrody. Zawierucha wojenna rzuciła go, jak wspomniałem, do Radomia.

Bardzo interesujące było jubileuszowe wystąpienie jednego z najstarszych uczniów radomskiej szkoły – Alojzego Balcerzaka z Płocka. Wspominał, jak po nieudanym egzaminie wstępnym na ASP w Warszawie poznał

o cztery lata starszego kolegę Andrzeja, który poradził mu, aby pojechał do Radomia i tam przygotował się do egzaminu u prof. Dobrowolskiego. Opowiadał przy tym o radomskiej szkole i nauczycielu tak przekonująco, że jeszcze tego samego dnia Balcerzak wsiadł do pociągu i po kilku godzinach stał przed drzwiami w kamienicy przy Sienkiewicza. Otworzyła mu pani Ada i dowiedziawszy się, o co chodzi, zawołała: „Wacku, uczeń do ciebie". Po przeprowadzeniu krótkiego sprawdzianu umiejętności kandydata profesor Dobrowolski zapytał, czy ma gdzie się w Radomiu zatrzymać. Następnego dnia załatwił mu mieszkanie u fotografa przy ul. Żeromskiego i pracę w banku. Przez rok Alojzy Balcerzak uczestniczył w zajęciach prowadzonych przez prof. Dobrowolskiego, co wystarczyło, aby bez problemu dostać się na ASP. Artysta nie mógł ukryć wzruszenia, opowiadając o prof. Dobrowolskim, chwalił jego metodykę i wspaniały charakter. A na koniec dodał: „Tym Andrzejem, który mi Radom polecał, był Andrzej Wajda". Po ukończeniu studiów Balcerzak oprócz malarstwa zajmował się projektowaniem pięknych znaczków pocztowych nagradzanych na światowych wystawach oraz ilustrowaniem podręczników szkolnych. Radomska szkoła znana była nie tylko w Radomiu. Już w 1946 r. zachwycony jej poziomem redaktor „Dziennika Powszechnego" snuł plany: „Szkoła jest subwencjonowana przez Min. Kul. i Sztuki oraz Zarząd Miejski i dlatego możliwe jest, że w niedługim czasie kierownictwo [...] przekształci szkołę rysunku i malarstwa w Radomiu na Instytut Sztuk Pięknych. Będzie to wielkim sukcesem dla radomian, gdyż pozwoli tym wszystkim, którzy nie mają możliwości wyjazdu do wyższych szkół, kształcić się nadal na miejscu". Wacław Dobrowolski marzenia miał skromniejsze. W „Życiu Radomskim" w 1947 r. pisano: „Bawiła w szkole Komisja Ministerialna z Warszawy, która omawiała z dyrektorem Dobrowolskim sprawę założenia w Radomiu Liceum Plastycznego. Sprawa ta, jak nas poinformowano, znajduje się na dobrej drodze i projektowane Liceum powinno powstać już w niedalekiej przyszłości...". Jednak nie brakowało też kłopotów. W 1949 r. władze ministerialne zmieniły nazwę szkoły na Ognisko Kultury Plastycznej i wprowadziły nowy przedmiot: zagadnienia ideologiczne. Jednocześnie, uznając wysoki poziom kształcenia w radomskiej szkole, zapewniły jej absolwentom wstęp na studia we wszystkich Akademiach Sztuk Pięknych. To nobilitujące wyróżnienie w skali kraju nie wszystkim się podobało. Ówczesne „Życie Radomskie" donosiło: „Nie za dobrze podchodzą do Ogniska pewne czynniki w Kielcach. Choćby Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki. Skutkiem tego właśnie, niewyjaśnionego na razie podejścia, Ognisko od trzech miesięcy już nie otrzymuje subwencji...". Na zajęcia w radomskiej szkole zapisanych było wtedy 150 osób w różnym wieku, od dzieci do dorosłych. Aby zapewnić funkcjonowanie szkoły w okresie bez subwencji, Wacław Dobrowolski pokrywał wydatki szkoły z pieniędzy otrzymanych ze sprzedaży swoich obrazów. Grono pedagogiczne wciąż się powiększało, m.in. w roku 1951 pracę w Ognisku podjął brat Witolda Gombrowicza – Jerzy. W roku 1954 wprowadzono nowy przedmiot – scenografię i zaprzestano nauczania zagadnień ideologicznych. W „Życiu Radomskim" w 1955 r. w artykule na jubileusz 10-lecia Wacław Rousseau napisał: „Ponawiamy naszą propozycję, by w Radomiu, mieście o tradycjach malarskich, posiadających dobrych pedagogów i licznych adeptów sztuki, założyć Liceum Technik Plastycznych. To już jest teraz konieczność a nie luźny wniosek. Dajemy to pod rozwagę Wydziałom Kultury Miejskiej i Wojewódzkiej Rady Narodowej". Jednak sprawę odwlekały Kielce – tam była siedziba ówczesnych władz i istniejące już Liceum Plastyczne. Dopiero w 1990 r. udało się utworzyć w Radomiu, trochę na siłę, Li-

Wacław Dobrowolski maluje obraz „Krzyk z rynsztoka", lata 30. XX w.

fot. archiwum

Irena Cichowska i Wacław Dobrowolski w Ognisku Plastycznym w Radomiu, lata 60. XX w.

ceum Sztuk Plastycznych. Niestety, założyciel radomskiej szkoły plastycznej tego nie doczekał, Wacław Dobrowolski zmarł w 1969 r.

Pod koniec lat 50. w ramach poszukiwania oszczędności planowano likwidację ognisk artystycznych. W końcu władze ministerialne zdecydowały, że „ogniska plastyczne powinny nadal upowszechniać kulturę plastyczną", bo również wychowują swoich słuchaczy. W ogólnopolskim „Głosie Pracy" (1962) pisano: „[...] urocza małżonka Dobrowolskiego, pani Adela przyjęła na siebie, choć bez urzędowego etatu, część edukacji członków Ogniska. Uczy ich kultury życia codziennego, zaczynającej się od dokładnego wytarcia butów, czystych rąk i podawania okryć koleżankom przez kolegów...". Lata 60. i 70. są pasmem sukcesów uczniów radomskiej szkoły – ogniska plastycznego w międzynarodowych konkursach, m.in. w Japonii, Indiach, Nowej Zelandii, we Francji. W krajowym rankingu radomskie ognisko zajmuje pierwsze miejsce. Piszący te słowa także postanowił przygotować się w ognisku do egzaminu z rysunku przed studiami na architekturze. W roku szkolnym 1967/68 uczestniczyłem w zajęciach, dobrze pamiętam pierwszą lekcję z profesorem Dobrowolskim, który położył białą kartkę na ciemnym stole i kazał nam to narysować. Po roku nauki zdałem egzamin wstępny z rysunku, ale z fizyki niestety nie, nie dostałem się na architekturę i zacząłem pracować jako dekorator witryn sklepowych. Znów przez rok bywałem w radomskim ognisku, spotkałem tam Jasia Wolszczaka z Pionek, „Diabła" Wojczakowskiego, Zygmunta Chałupkę (obecnie konserwatora w muzeum), Annę Kwiatkowską – siostrę Leszka Kwiatkowskiego i wiele innych niezapomnianych osób. Po latach zostałem nauczycielem w tej szkole, miałem zajęcia z dziećmi (rysunek i malarstwo) i prowadziłem fakultet z fotografii. Po śmierci Wacława Dobrowolskiego Ognisko Plastyczne nie przerwało swej działalności. Kierownictwo przejęła Irena Cichowska, artystka plastyk pracująca w ognisku od 1950 r.

W roku 1970 w „Życiu Radomskim" pisano: „Spośród słuchaczy Państwowego Ogniska Plastycznego w Radomiu, którzy ukończyli tę placówkę, dwie osoby dostały się na wyższe studia artystyczne. Zbigniew Kamieński i Jan Bujnowski przyjęci zostali do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie...". Spotkałem ich w pracowni dekoratorskiej „Społem", gdzie przez rok wspólnie pracowaliśmy. Dziś obaj są już profesorami w dziedzinie sztuk pięknych, znanymi artystami. Na marginesie: prawie wszyscy artyści plastycy radomscy tworzący w Radomiu lub w innych miastach uczyli się kiedyś w radomskim ognisku.

W 1972 r. dyrektor Cichowska przeszła na emeryturę. Kolejnym dyrektorem został historyk sztuki, fotoreporter CAF Wojciech Stan. Wprowadzono nowe przedmioty: tkaninę artystyczną i fotografię, uruchomiono specjalistyczną bibliotekę. W roku 1975, podczas jubileuszu 30-lecia, radomskiemu ognisku nadano imię Jacka Malczewskiego, a przy okazji przypomniano, że jest najstarszą tego typu placówką w Polsce. W 1985 r. obliczono, że w ciągu 40 lat w ognisku kształciło się ponad 5 tys. osób.

Na fali przemian postanowiono unowocześnić edukację w ognisku. Grupa nauczycieli pod kierownictwem absolwentki ogniska, a potem Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS Krystyny Joanny Szymańskiej przygotowała eksperyment w kształceniu plastycznym. W 1991 r. na bazie dotychczasowego Ogniska Plastycznego minister kultury powołał jedyną w kraju trzyletnią Państwową Szkołę Plastyczną I Stopnia. Krystyna Szymańska została jej dyrektorem. Znów przybyło uczniów i dotychczasowy lokal przy ul. Sienkiewicza stał się za ciasny. Władze miasta przydzieliły szkole budynek dawnego przedszkola na Plantach. Warunki były wspaniałe, w ciepłe dni zajęcia z rysunku i malarstwa prowadzono w szkolnym ogrodzie, sąsiadującym z parkiem. W wakacje zaczęto organizować plenery malarskie, które kończyły się wystawami i aukcjami w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Radomiu. Od września 2009 zaczął się dla szkoły nowy etap – decyzją Rady Miejskiej Radomia została włączona w skład Zespołu Szkół Plastycznych im. Józefa Brandta (dyrektor Bożena Marczykowska) i przeniesiona do budynku przy ul. Kilińskiego. Liczne przeprowadzki, rozbudowa budynków przy ul. Grzecznarowskiego, nauka w lokalach zastępczych osłabiły szkołę. Powoli wraca do dawnej świetności.

Placówka dalej jest jedyną szkołą plastyczną pierwszego stopnia w Polsce. Realizuje w godzinach popołudniowych program kształcenia artystycznego (rysunek i malarstwo, wiedza o sztuce oraz przedmioty fakultatywne: ceramika, grafika komputerowa, tkanina artystyczna i rzeźba), bez przedmiotów ogólnokształcących. Szkoła ma trzy działy – wstępny (1 rok, dzieci w wieku 6–10 lat), dziecięcy (3 lata, dzieci w wieku 11–13 lat) i młodzieżowy (3 lata, młodzież powyżej 14 lat).

Jerzy Kutkowski
15 września 2015 r.

KRONIKA
lipiec–wrzesień 2015

Iłża

18.07.2015. XXI Ogólnopolski Festiwal Folkloru im. Józefa Myszki zgromadził aż 47 uczestników, wśród których byli soliści, zespoły śpiewacze i kapele ludowe. Podczas występów świetnie bawiła się liczna publiczność.

9.08.2015. Na terenie Miejsko-Gminnego Ośrodka Sportu i Rekreacji odbył się XXI Iłżecki Jarmark Sztuki Ludowej zorganizowany przez Towarzystwo Ochrony i Promocji Zawodów Ginących.

Kozienice

28–29.08.2015. Wyjątkowo wysoki poziom artystyczny zaprezentowali uczestnicy tegorocznego Festiwalu Muzyki Rozrywkowej im. Bogusława Klimczuka. Grand Prix trafiło do Pauliny Lendy ze Świdnicy. Gwiazdą koncertu galowego był zespół LemON, który zyskał ogromny aplauz publiczności.

18.09.2015. W Muzeum Regionalnym im. prof. Tadeusza Mikockiego otwarto wystawę „Od lunety Galileusza do teleskopów kosmicznych". Prezentowane eksponaty pochodziły ze zbiorów Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Orońsko

6.09.2015. Po raz kolejny Centrum Rzeźby Polskiej zaprosiło na Niespodziewany Początek Jesieni. Tym razem impreza przebiegała pod hasłem „Hej, sokoły!" i była poświęcona kulturze ukraińskiej. Gwiazdą był folkowy zespół ukraiński Horpyna oraz reprezentacyjny chór Kałyna.

12.09.2015. W galerii Oranżeria Centrum Rzeźby Polskiej otwarto wystawę Marty Pszonak „Butelki po wyparowanej wodzie".

Przysucha

6–7.06.2015. Odbyły się kolejne Dni Kolbergowskie. Obchodzona od 56 lat impreza ma na celu prezentację kultury ludowej i dorobku folklorystycznego.

Radom

4.07.2015. Koncert finałowy tegorocznej Akademii Dyrygentów odbył się w sali koncertowej Zespołu Szkół Muzycznych. Radomską Orkiestrę Kameralną prowadziło aż ośmioro dyrygentów, którzy zaprezentowali umiejętności nabyte podczas trwających tydzień warsztatów w Radomiu.

5.07.2015. Rozpoczęła się ósma edycja Ogólnopolskich Spotkań Filmowych „Kameralne Lato". Projekcje 10 zakwalifikowanych do konkursu filmów odbywały się w Czytelni Kawy.

9.07.2015. Koncert z udziałem Georgija Agratiny i Roberta Grudnia w kościele pod wezwaniem Świętej Trójcy w Lipsku zainaugurował XVIII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej Radom–Orońsko. Koncerty w ramach festiwalu odbywały się do końca sierpnia. Melomani mieli okazję posłuchać wybitnych muzyków z całego świata, którzy występowali w kościołach Radomia i okolicznych miejscowości.

9.07.2015. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii przy ul. Żeromskiego otwarto wystawę fotografii „Celebrating Chicago (Uroki Chicago)", której współorganizatorem był American Corner Radom.

14.08.2015. Prezydent Radomia Radosław Witkowski zaprosił mieszkańców na charytatywny koncert w ramach akcji „Siła w precyzji – siła w pomaganiu", zorganizowany nad zalewem na Borkach.

15.08.2015. Na placu przed kościołem garnizonowym odbyły się uroczystości Święta Wojska Polskiego. Uczestniczyli w nich przedstawiciele władz samorządowych Radomia, młodzież, kombatanci, żołnierze, mieszkańcy miasta. Po mszy św. w intencji Ojczyzny wręczono medale, odznaczenia, awanse żołnierzom i kombatantom.

15.08.2015. W Muzeum Wsi Radomskiej zorganizowano letni kurs historii „Na polu chwały 1920. Twierdzą nam będzie każdy próg".

30.08.2015. Gala operetkowo-musicalowa w wykonaniu Moniki Gruszczyńskiej, Moniki Piechaczek, Mirosława Owczarka i Tomasza Tracza zakończyła cykl letnich koncertów „Spotkajmy się na Żeromskiego", odbywających się w niedzielne wieczory na radomskim deptaku. Można było posłuchać różnych gatunków muzyki w wykonaniu popularnych wykonawców.

1.09.2015. W Zespole Szkół Plastycznych odbyły się uroczystości jubileuszu 70-lecia działalności tej placówki, licząc od założenia Ogniska Plastycznego przez Wacława Dobrowolskiego. Obecna szkoła jest kontynuatorką jego dzieła. W spotkaniu wzięli udział absolwenci, przedstawiciele władz samorządowych, uczniowie, nauczyciele.

4.09.2015. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarta została wystawa jubileuszowa z okazji 25-lecia pracy twórczej znanego radomskiego twórcy ceramiki artystycznej Bogusława Dobrowolskiego.

5.09.2015. Radomianie przystąpili do Narodowego Czytania, organizowanego po raz czwarty z inicjatywy prezydenta RP. Tym razem pod pomnikiem Jana Kochanowskiego odbyło się czytanie *Lalki* Bolesława Prusa. Imprezę zorganizowała „Łaźnia" Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria.

5.09.2015. Zespół Alicetea, grający muzykę reggae, koncertował w Czytelni Kawy.

6.09.2015. Muzeum Wsi Radomskiej zaprosiło na XVII Radomskie Święto Chleba. Impreza została zorganizowana wspólnie z Cechem Piekarzy i Urzędem Miejskim w Radomiu.

11.09.2015. Teatr Powszechny udanie zainaugurował sezon artystyczny premierą sztuki Yasminy Rezy „Bóg mordu". Spektakl reżyserował Krzysztof Babicki.

12.09.2015. Kolejną premierą w radomskim teatrze było przedstawienie „Niebezpieczne związki" inspirowane powieścią Choderlosa de Laclosa.

12–13.09.2015. Mieszkańcy miasta po raz ósmy licznie przybyli w okolice OKiS „Resursa Obywatelska", żeby uczestniczyć w festynie historycznym Uliczka Tradycji. Jak co roku organizatorzy przenieśli uczestników imprezy w klimat lat 20., 30. ubiegłego wieku. Odbywały się koncerty, pokazy starych samochodów, projekcje filmów, spektakle kabaretowe, zabawy dla dzieci. Tegoroczna Uliczka Tradycji przebiegała pod hasłem „Na lądach i morzach".

19.09.2015. Radomska Orkiestra Kameralna zainaugurowała sezon artystyczny. Podczas koncertu gościnnie wystąpił młody radomski piani-

sta Marcin Wieczorek. Dyrygował Robert Carter Austin ze Stanów Zjednoczonych. W programie koncertu były między innymi utwory Chopina.

20.09.2015. Jubileusz 110-lecia istnienia obchodziło IV Liceum Ogólnokształcące im. dr. Tytusa Chałubińskiego.

25.09.2015. „Łaźnia" Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria zaprosiła na koncert sonat w wykonaniu Mateusza Strzeleckiego – skrzypce i Andrzeja Ślązaka – fortepian.

25.09.2015. W Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu otwarto wystawę „Janusz Towpik. Czarodziej natury".

25.09.2015. Zespół Szkół Plastycznych im. Józefa Brandta obchodził jubileusz 25-lecia utworzenia szkoły.

26.09.2015. Nowa galeria sztuki Galeria 58 zainaugurowała działalność wystawą Anny Matuszewskiej z Poznania. Artystka zaprezentowała na niej cykl grafik zatytułowany „Gry".

26.09.2015. Miejska Biblioteka Publiczna zorganizowała X Otwarty Konkurs o Tytuł Radomskiego Mistrza Ortografii Polskiej. Impreza odbyła się pod patronatem Rady Języka Polskiego przy Polskiej Akademii Nauk oraz Prezydenta Miasta Radomia Radosława Witkowskiego. Mistrzynią została ekonomistka Katarzyna Kwiecień.

27.09–1.10.2015. Pod hasłem „Dziedzictwo Jana Pawła II w życiu społecznym" przebiegał, zorganizowany po raz ósmy, Tydzień Społeczny. Gośćmi byli znani dziennikarze (Brygida Grysiak, Krzysztof Ziemiec), naukowcy, publicyści.

27.09.2015. W czytelni Miejskiej Biblioteki Publicznej odbyła się debata „Komu i do czego służą nagrody literackie?". Udział w debacie wzięli członkowie powołanej dzień wcześniej przez prezydenta miasta Kapituły Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza: Ewa Graczyk, Jerzy Jarzębski, Anna Kałuża, Zofia Król, Zbigniew Kruszyński, Józef Olejniczak, Justyna Sobolewska. Moderatorem był Jarosław Klejnocki.

29.09.2015. W sali koncertowej Urzędu Miejskiego w Radomiu odbyło się sympozjum popularnonaukowe „Tajemnice radomskiej archeologii". Organizatorami byli: Urząd Miejski, Rewitalizacja Sp. z o.o., Zespół Naukowy do Badań Dziejów Radomia.

Solec

23–27.07.2015. Koncerty organizowane w ramach X Festiwalu Muzyki Klasycznej cieszyły się dużym powodzeniem słuchaczy. Udział w festiwalu wzięli: kwartet smyczkowy Indaco, kwartet barokowy z Bremy, sekstet na instrumenty dęte, Schubert-Oktett oraz radomski zespół folkowy Frument Project. Koncerty odbywały się w klasztorach i kościołach Solca oraz sąsiednich miejscowości.

Wsola

4.09.2015. W Muzeum Witolda Gombrowicza odbył się recital Andrzeja Poniedzielskiego. Artysta wykonał utwory z płyty „Life?", którą nagrał z okazji 40-lecia pracy artystycznej.

26.09.2015. W Muzeum Gombrowicza zainaugurowano Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza. Prezydent Radomia wręczył powołania członkom Kapituły Nagrody. Po części oficjalnej odbył się koncert w wykonaniu Doroty Miśkiewicz i Marka Napiórkowskiego. Gościem honorowym uroczystości była Rita Gombrowicz.

Zwoleń

2.07.2015. W Domu Kultury została otwarta wystawa malarstwa radomian Longina Pinkowskiego i Łukasza Rudeckiego.

PATRONAT:
Prezydent Miasta Radomia
Radosław Witkowski
Polska Izba Książki

5 Radomskie Targi
Wydawnictw Regionalnych
19–20 listopada 2015 r.

19-20 listopada 2015 r.
godz. 10.00-17.00
Foyer sali koncertowej
Radomskiej Orkiestry Kameralnej

19 listopada 2015 r.
godz. 17.00
Uroczyste wręczenie Nagrody Literackiej Miasta Radomia

20 listopada 2015 r.
godz. 18.00
wernisaż wystawy Stanisława Zbigniewa Kamieńskiego
z okazji jubileuszu 40 lat pracy twórczej
MBP, ul. Piłsudskiego 12

Szczegółowy program na stronie www.mbpradom.pl

Jerzy Kutkowski – Subiektywny obiektyw

Ciepły koniec wakacji, Radom 28 sierpnia 2015 r.